NOWE PIEŚNI

WIKTOR GOMULICKI

NOWE PIEŚNI

PETERSBURG.
NAKŁADEM K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
1896.

FK

NOWE PIEŚNI

WIKTOR GOMULICKI

NOWE PIEŚNI

PETERSBURG.
NAKŁADEM K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
1896.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ŚPIEWAJ.

— Długo milczały struny twojej lutni.
Śpiewaj, poeto.

— Komu?

— Swoim czasom.

— One słuch ziemskim oddały hałasom:
Gwarowi targów, parlamentów kłótni;
Pieśń w nich anielska nie znajdzie oddźwięku.
— Śpiewaj przyszłości.

— Przyszłość we mgłach skryta.
Może jej hejnał żelazo wyzgrzyta,
A kołysanka będzie z klątw i jęku.
— Śpiewaj dniom zbiegłym.

— Alboż słyszą groby?
Śpiewak umarłych to puszczyk w ruinie;

Zdala od żywych lament jego ginie,
Jak goniec smutku, jak zwiastun żałoby.
— Więc zerwij czasu krępujące pęta,
Bądź samem pięknem, bądź poezyą samą —
Śpiewaj wieczności. Po cóż ma być tamą
Natchnieniom twoim rzecz z chwili poczęta?
Wieszcz żyje w Bogu; skrzydła go wynoszą
Za obecności ułudne granice...
Śpiewaj; twe pieśni, jako błyskawice,
Przelecą wieczność i mroki rozproszą.

Bądź jako słońce, jasnością swą dumne,
Co nie dba kędy blaski jego padną:
Na pierś gorącą, czy na pierś bezwładną,
Na oblubieńców łoże, czy na trumnę.
Gdy z drzew umarłych jesień strąca liście,
Śpiewaj o czarach nieśmiertelnej wiosny;
Gdy z pól cmentarnych chór płynie żałosny,
Śpiewaj o lecie, co trwa wiekuiście.
Duch nie zna świtu i nie zna zachodu;
Był przed wiekami i przed wszelką rzeczą,
Jest, choć mu tłumy zaślepione przeczą,
Będzie, gdy ziemia skrzepnie w bryłę lodu.
Mniejsza, czy echo ozwie się gdzieś nizko
I czy słuchaczów doczeka się pean —
Komuż swe pieśni wygrzmiewa ocean?
Słońce czyż z siebie czyni widowisko?...

I

WZLOTY

NOWE PIEŚNI

WIKTOR GOMULICKI

NOWE PIEŚNI

PETERSBURG.
NAKŁADEM K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
1896.

Mówią, że prawda tkwi w rzeczywistości,
Lecz rzeczywistość to największa złuda...
Co w niej z pozoru wygląda najprościej,
Ukrywa w głębi najtajniejsze cuda.
Cóż to jest jawa? któryż zmysł nie myli?
Kto zmierzył przestrzeń? czas czyliż upływa? —
Ty tylko sobą jesteś każdej chwili,
Poezyo! — tyś tylko prawdziwa!

Wśród zgiełku życia, w wypadków rozterce,
Ty jedna umiesz wyśledzić myśl bożą;
W rytmie twych pieśni bije światów serce,
Jak dzwon, przed którym wierzący się korzą;
Na innych drogach duch sam sobie przeczy
I wierzchem fali lękliwie przepływa —
Ty tylko sięgasz do istoty rzeczy,
Poezyo! — tyś tylko prawdziwa!

WSZECHMOC CZŁOWIEKA.

Ucisz ducha — a zaraz dookoła ciebie
Zrobi się cicho, jak w niebie;
Poskrom żądze — a choćbyś nie miał spocząć na czem,
Uczujesz się bogaczem;
Podnieś serce — a wraz ci wszystkie głosy ziemi
Hymnami zabrzmią cudnemi.

W sobie masz siłę władania światem,
Czynienia wiosny z jesieni;
Gdy chcesz, rzecz każda swe barwy odmieni,
Cierń stanie się kwiatem.
Duszą jedynie własną
Rzucasz na wszystko i blask i cień,
I noc dla ciebie może być jasną
A ciemnym — dzień.

W okowach nawet możesz być wolnym,
Gdy myślom wolność dasz;
I nawet płonąc na ogniu powolnym
Pogodną zachowasz twarz.
Twa wola stosu ogniste języki
Przekształci w wonne róże —
I z róż oddechem roztopniesz w lazurze,
Anielskie słysząc muzyki.

Człowieku! większą ci dano moc,
Niż ją twój rozum ogarnia!
Złudzeniem tylko: smutek i noc —
Niewola i męczarnia...
W twej duszy wszechświat się cały mieści
A kształty ziemskie są jej odbiciem;
Z niej twe radości płyną i boleści
I wszystko, co zowiesz — życiem.

Droga przed tobą wykreśla się jasno...
Nie w złocie twoja potęga,
Ani w płomieniach krwi, co prędko gasną,
Ani we władzy, która daleko nie sięga;
Obronnym ciebie nie uczyni wcale
Mur, ziejący paszczami dział,
Ani flaga, zatknięta na fortecznym wale,
Ani szaniec służalczych ciał;
Próżnobyś także zaprzęgał żywioły
Do jarzma celów własnych,

I do pomocy wzywał anioły
O licach jasnych...

Jeżeli pewną mieć pragniesz obronę
I moc, co targa wszystkie losów sidła,
W inną, człowieku, skieruj żywot stronę:
Okiełznaj żądze, a myślom daj skrzydła!



JEDEN I JEDNAKOWY.

Czy duch dojrzewa? czy duch się starzeje?
Czy się, z dni zmianą, odmienia?
Czy jedne z ciałem przechodzi koleje?
Czy gaśnie nakształt płomienia?

Bóg go osadza w ciało, jak do klatki,
I więźniem czyni go czasu;
A on wciąż tęskni, jak dziecko do matki,
Jak dzikie ptaszę do lasu.

W ciałku dziecięcem duch igra, swawoli,
Braćmi mu ptaki, motyle,
Sam zda się ptaszkiem, co spocznieniu gwoli,
Na ziemi przysiadł na chwilę...

W młodzieńcu huczy, piorunami błyska,
Słów butnych wyrzuca krocie,

Wbiega na szczyty, wzlata na urwiska,
A czasem — nurza się w błocie...

W mężu stateczny, cichszy a mocniejszy,
Niesfornym pogardza szałem;
Marzy i działa, nim wiek sił umniejszy,
W zupełnej harmonii z ciałem.

Nad starca kośćmi przewagę zdobywa,
Krzepi je, by rzucić potem;
A czując w klatce słabnące ogniwa,
Cieszy się blizkim wylotem.

Lecz czy szepleni przez bezzębne szczęki,
Czy piosnkę dziecinną gędzie,
Czy się objawia przez śmiechy lub jęki,
Jest jeden zawsze i wszędzie.

Ciało — tò lutnia w ręku ducha-mistrza
Ze siedmiotonową tęczą;
Ze strun jej wówczas płynie pieśń najczystsza,
Kiedy posłusznie mu dźwięczą.

Lecz jeśli ciężko na struny upadnie
Żelazna nieszczęścia ręka...
Jeśli cierpienie wysysa krew zdradnie,
Lub skrycie tęsknota nęka...

Jeżeli nagle stygną piersi młode,
Bielmo zachodzi na oczy,

Albo uczucia i wrażeń pogodę
        Chmura obłędu zamroczy...

Jeśli melodya niepewna i głucha
        Splątanem pasmem się przędzie, —
Nie winić o to żywiącego ducha:
        Nie mistrz zły, jeno narzędzie!

Duch, czyli w mędrca przebywa czerepie,
        Czy w wązkiej czaszce dziewczęcia,
Zawsze swobodny, jak wicher na stepie,
        Szydzi z ziemskiego zamknięcia.

Sam w sobie silny, sam w sobie jednaki,
        Jasne ma drogi i cele,
I tylko innym przez słowa i znaki
        Musi objawiać się w ciele.

Więc, czy zamknięcie dni trwało czy lata,
        Porzuca je niezmieniony,
I jest tym samym, czy z pączka wylata,
        Czy też z okwitłej korony.

GDY SIĘ W SERCU ZROBI CISZA...

Gdy się w sercu zrobi cisza,
Lasów cisza, świątyń cisza,
Coś w niem szepce, coś w niem gwarzy,
Jak modlitwa, nocą, mnisza
Wśród klasztornych korytarzy...

Zmartwychwstałych głosów echa,
Słodkie echa, święte echa
Coraz milej w ciszy dźwięczą,
I duch smętnie się uśmiecha,
Czarowany wspomnień tęczą.

Znika z oczu twoich jawa,
Nudna jawa, brzydka jawa,
I spostrzegasz się w krainie,
Gdzie czas, tracąc swoje prawa,
Nie upływa, chociaż płynie.

I znów czucia masz dziecięce,
Sny dziecięce, łzy dziecięce;
W mroku matka na cię woła,
I do modłów wznosząc ręce,
Słyszysz w sobie głos anioła.

Zapachniały tobie kwiaty,
Łąki kwiaty, marzeń kwiaty,
Zaśpiewały tobie zdroje —
I sięgnęły w inne światy
Uciszone zmysły twoje.

Ten sam jesteś co w zaraniu,
W lat zaraniu, w snów zaraniu;
Wskrzesły w tobie myśli młode,
Na różanem śnisz posłaniu
Wieczny zachwyt i pogodę.

Ale nie trwa długo złuda,
Zmysłów złuda, ducha złuda...
Gdy namiętność serce wzruszy,
Rozwiewają się w mgłę cuda,
Niknie raj stracony duszy...



ALFA I OMEGA.

Dziecię i mędrca przepaścią świat dzieli,
I na przeciwne rzuca bytu krańce.
Któż w dziecka rozum wierzyć się ośmieli?
Mędrzec jedynie, co wdarł się na szańce,
I sztandar ducha rozwinął wysoko,
Może wieczności patrzeć oko w oko.

Świat na wyżyny podnosi człowieka
Nie nagłym rzutem, lecz wiodąc przez stopnie;
Przy świetle wiedzy, co wabi zdaleka,
Niejeden szczytów upragnionych dopnie;
Ale gdy cieszy się swem wniebowzięciem,
Nagle spotyka się na nich — z dziecięciem...

Pogodna dziecka źrenica
Wszystko odbija pogodnie,
I kształt ją każdy zachwyca,

Choćby grzech skrywał i zbrodnię;
Dla dziecka różnicy niema
Między marzeniem i jawą;
Rwie kwiaty dłońmi obiema,
Goni za łątką jaskrawą.
Jeszcze mu ciche drży łono
Czarownem zaświatów echem...
Z duszą do życia stęsknioną,
Dziecię świat wita — uśmiechem.

Duch mędrca przez całe życie
Sam z sobą wiódł ciężkie wojny —
Lecz odkąd stanął na szczycie,
Głęboko już jest spokojny.
Nic mędrca nie zdoła strwożyć,
Nic go zasmucić nie zdoła;
Mógłby i w grób się położyć
Z niezmienną pogodą czoła.
Spokój na licach mu gości,
Czy z cnotą zszedł się, czy z grzechem...
Tęskniąc za słońcem wieczności,
Mędrzec świat żegna — uśmiechem.

Uśmiech w kolebce i uśmiech przy trumnie! —
Mądrość, przebiegłszy cały okrąg koła,
Tam kornie wraca, skąd wybiegła dumnie.
Mędrzec uchyla przed dziecięciem czoła.
Cisza przed nocą — i cisza o świcie;
A między niemi huczy burzą — życie!

•••• —

POBUDKA.

Do czynu! hej! do czynu!
  Pobudkę Miłość gra...
Wstań nowych haseł synu!
  Niech pierzcha fałszu ćma!
Skalpel chwytaj lekarzu,
  Mędrcze, za pióro bierz!
Z krzyżem, co lśni w ołtarzu,
  Na bój, kapłanie, spiesz!
Nikt broni nie odpasze
  Aż ofiar padnie dość —
Niech giną wrogi nasze:
  Nędza, choroba, złość!

Ławą na tego smoka,
  Co się ciemnotą zwie!
Choć popłynie posoka,
  Niech każdy żga i rwie!

Skruszmy bałwana z lodu
    Co drży u naszych bram:
Niech szczeznie widmo głodu!
    Niech nie wygraża nam!
Tu epidemia blada
    Przyczaja się jak zbój —
W łeb ją! niechaj przepada!
    A z nią mar czarnych rój!

W zdrętwioną bólem ziemię
    Sfinks szpony ostre wbił,
I cielska jego brzemię
    Kradnie jej resztę sił.
Sfinks zna zagadkę bytu
    I śmierci tajnię zna —
Czemuż paszcza z granitu
    W milczeniu martwem trwa?
Hej! gromem niech nań spada
    Skalpel, pióro i miecz;
Dopóki nie zagada,
    Kol go i kraj i siecz!

Innych walk nam nie trzeba!
    Nie trzeba krwi i łez!
Tej ciężkiej karze nieba
    Raz już połóżmy kres:
Fatum z twarzą straszliwą
    Oto nasz wspólny wróg;
Zduśmy tę hydrę mściwą,

Jaśniej nam błyśnie Bóg.
Ludzkości! na bój bratni
Nie tracić tobie sił!
Czyż chcesz, by później w matni
Czart z twej niemocy drwił?

O pokoju marzenie
Nim wyśni się jak sen,
Przedtem przez walk płomienie
Przebrnąć świat musi ten.
Lecz walka nowa, śmiała
Z innych się toczy kart:
Tu armią — ludzkość cała,
Wrogami — noc i czart.
Wszyscy, ilu nas w świecie,
Huf złóżmy z dusz i ciał,
A wroga huf ten zgniecie
Bez mieczów, spis i dział!

Wieszczu! mędrcze! kapłanie!
Za pióro, skalpel, krzyż!
Niech armia murem stanie,
Ducha wzniesie na wyż!
Wstań, nowych haseł synu;
Niech pierzcha fałszu ćma;
Do czynu! hej, do czynu!
Pobudkę Miłość gra.

W KATEDRZE.

Pod gotyckiemi żebrami sklepienia
Siedzisz jak Jonasz w łonie wielkiej ryby,
I tylko echo ulicznego wrzenia
I brzęk trącanej ptasiem skrzydłem szyby
Mówią ci jeszcze o męce istnienia.

Zresztą tak cicho i nieba tak blizko,
Że się już duchem wydajesz sam sobie...
O zbawczy porcie! o święte schronisko
Dla dusz zmęczonych i dla dusz w żałobie
W przejściu pomiędzy trumną a kołyską!

Tu sen i spokój — a o kroków kilka
Życie powszednie huczy mętną falą
I samolubstwo błyska kłami wilka,

Rozszarpywane jagnięta się żalą
I krwią a potem cieknie każda chwilka...

Tyś uszedł z pola — i w cichej przystani
Liczysz coś stracił i co ci zostało
A skrzydła w ogniach zetlone otchłani
Znękaną duszę i zemdlone ciało
Temu co-ć dał je składasz znowu w dani.

O! jak ci droga ta cisza kościelna,
Niebiańskiej ciszy darząca przedsmakiem!
O! jak drży w tobie powłoka śmiertelna,
Co jest jak klatka rozemkniona z ptakiem
Lub jak w wiosenny dzień komórka pszczelna!

Więc błogosławisz dłoniom, co pokładły
Korabie ciche na morzu żywota —
Bo choć huragan szturmuje zajadły
I jak łupiną istnieniem twem miota,
Tu-ś jest bezpieczny i w błogość zapadły.

Błogosławieni — szepcesz — co zaklęli
W kamień i drzewo swe myśli najświętsze;
Błogosławione słońce, które bieli
I zdobi tęczą ołtarzowe wnętrze;
Błogosławieni święci i anieli.

Błogosławieństwo i wam, o kolumny,
Strzelistą linią biegnące do szczytów;

I wam posągi, których orszak tłumny
Błyska jak główki anielskie z błękitów;
I wam, w podziemiach butwiejące trumny...

A gdy już burza w twem sercu zadrzemie,
Modlisz się Bogu słowy dziękczynnemi
Za to, że zdjęte z losu twego brzemię —
Bo gdybyś ciszy nie znalazł na ziemi,
Możebyś szukać jej poszedł — pod ziemię.

PRZECZUCIE.

Pytałem serca: czemu dotąd żywe?
Serce odrzekło w roztęsknionej nucie:
— Trwam, bo mi szepce tajemne przeczucie,
Że jeszcze będę szczęśliwe.

Pytałem myśli: dlaczego nie gasną?
Myśli zajękły, jak cichnąca burza:
— Skryte przeczucie przyszłość nam wywróża,
Zapomnień pełną i jasną.

O, niezgłębione przeznaczeń otchłanie!
Mrokiem zalany labiryncie duszy!
Czyż tego, o co rozum ostrze kruszy,
Instynkt-by miał rozwiązanie?

Skąd ten głos? Jestże to senne złudzenie
Duszy, słyszącej, co słyszećby rada?
Czyli też jasność jutrzenkowa, blada,
    Na niebie spowitem w cienie?...

II

PRZY SŁOŃCU

PRZY SŁOŃCU.

Zapomnianych piosnek echa
Znów mi w sercu drżą;
Sfinks przyszłości się uśmiecha
Po za mgłą...

Jeszcze w sadach kwiaty rosną,
Brzmi pieśniami gaj;
Jeszcze życie pachnie wiosną,
Jeszcze maj!...

Z westchnień, blasków, szeptów, woni,
Płynie jeden chór;
Wiatr przygonił, wiatr przegoni
Stada chmur...

Do mnie, do mnie, pieśni moje!
Do mnie, hufcu mój!

Niech mi szepce bajki swoje,
Sylfów rój...

Kto poezyę zowie marą,
Ten sam kłamstwa syn;
Nierozdzielną świeci parą
Pieśń i czyn.

I śmierć próżno pełznie skrycie,
Pragnąc zepchnąć w cień —
Z grobów błyska nowe życie,
Z nocy — dzień!

GDY BŁYSZCZY MAJ...

Gdy błyszczy maj,
Gdy śpiewa gaj,
Gdy z łąk i sadów woń bucha,
Uczuciom swoim skrzydła daj,
Odhartuj i pierś, i ducha.

Kąp w blaskach skroń —
Dociekań toń
Niech cię nie ciągnie zdradziecko;
Istnienia rozkosz w siebie chłoń
Szczerze, poprostu, jak dziecko.

Cóż ci stąd, cóż,
Że ciało róż
Zbadałeś pod szkłem i nożem?
Z duszą się kwiatu nie spotkał nóż,
Z tchnieniem nie spotkał się Bożem.

Ze złotych czar
Leje się war,
Do życia budząca siła —
Oburącz chwytaj słodki dar,
Mniejsza, kto ci go przysyła.

Na co ci wieść,
Czem życia treść?
Jakie w mozajce kamyki?
Całością piękna ducha pieść,
Na tony nie dziel muzyki.

Miłosny szał
I serc, i ciał
Niech poi cię bez pamięci;
Gdyś się na chwilę trzeźwym stał
Już on cię więcej nie znęci.

Z rozmysłem precz!
Niech każda rzecz
Swe krasy jawi ci zwierzchnie;
Gdzie analizy błysnął miecz,
Ptak ducha wnet stamtąd pierzchnie.

Poezyi cud,
Kochania miód,
Cały raj ziemskich rozkoszy
Z samych się tylko składa złud...
Nieszczęsny, kto je rozproszy!

Sympatyi nić
Gdy pragniesz zwić
Z przyrodą w majowy ranek,
Nie jako badacz do niej idź,
Lecz jak syn, lub jak kochanek.

Na łonie jej
Łzy słodkie lej.
We łzach omywaj rdzę ducha;
Ona współczuje nędzy twej,
Namiętnych wyznań wysłucha.

Słowików śpiew
I szumy drzew,
I serca przy sercu bicie
Powiedzą ci, żar lejąc w krew,
Jaką biesiadą jest życie.

Zrozumiesz szał,
Co w łonie skał
Żywotne obudza dreszcze;
I będziesz drżał, i będziesz łkał,
I będziesz wołał: „O! jeszcze!...“

EKLOGA.

Więdną od skwaru zioła,
Mdleją od skwaru trzody;
Cichnie Filis wesoła
Zamilknął Mirtyl młody.
Przez cały ranek wspólnemi siły
Chronili stada przed spieką letnią;
Przez cały ranek echa dzwoniły
Śmiechem Filidy, Mirtyla fletnią.
Teraz skwar wygania
Z łąk i z pod szałasu,
W gąszcz się kryje łania...
Do lasu! do lasu!

Pod słońca płynnem złotem
Płonie i skrzy się niwa,
A las listków namiotem
Skroń przed żarem okrywa.

Chłodzą gałęzie, niby wachlarze,
Wonna jagoda odświeża usta;
Cicho — i tylko chichocą w parze:
Lubieżny satyr i nimfa pusta...
    Tam gdzie najcieniściej,
    Oni zwolna idą;
    I słychać wśród liści:
    „Mirtylu!...“ „Filido!...“

    Zostawili swe stada
    Pod brzózkami młodemi;
    Niech tam sobie dryjada
    Opiekuje się niemi.
Ich samych nakrył buków liść gęsty —
A las zbudzony gra im jak lira;
Słychać hukania, szumy i chrzęsty,
I tentent koźlich kopyt satyra.
    Przemknęła gęstwiną
    Zadyszana Chloe;
    Z wiatrem krzyki płyną:
    Evoe!... Evoe!...

    Gdzie strumień, dzwoniąc, bieży,
    Siedli u spodu wzgórza;
    Chłodzi ich wietrzyk świeży,
    Zapach kwiatów odurza.
Na mchu, wśród głazów, miejsca tak mało,
Musieli zbliżyć ręce i skronie;

Nagle, coś ogniem na nich powiało.
Filis omdlewa, a Mirtyl płonie...
O chwilo zawodu!
O dziwne zjawisko!
Las pełen był chłodu,
Lecz siedli — zablizko...

PIEŚŃ WIOSENNA.

Zbudź się, piękna, o brzasku,
Z ptactwem wybieź na łan,
Oto nadchodzi w blasku,
Z promieni mając wieniec,
Twój skarb, twój król, twój pan,
Twój — oblubieniec!

Rydwan przywiózł go złoty
Z otwartych nieba bram;
Spojrzenia jego — groty,
I z miłośników grona
On tylko godzien sam
Wziąć cię w ramiona.

Uścisk jego aż boli,
A w pocałunku żar;

Gdy ramieniem okoli
Drżące z rozkoszy łono
W żyłach zakipi war
Falą szaloną.

Od niego twe rumieńce,
Od niego wdzięk i moc,
On ci dał kwietne wieńce,
On, by poić słodyczą,
Cichą wypełnił noc
Pieśnią słowiczą.

Jeśli bije twe serce
Jak wielkanocny dzwon,
A co tlało w iskierce
Wielkim ogniem wybucha,
To sprawił on, ach! on,
Twój dawca ducha.

Bez niego cóżeś była?
Lodu i błota zlep.
Jako bezduszna bryła
Błądziłaś wśród ciemności —
Aż ci Apollo-Feb
Dał chrzest miłości.

Napróżno sama sobie
Chciałabyś celem być...

I w kolebce i w grobie
I w nocnych mgłach i świtem
Złota cię wiąże nić
Z zaziemskim bytem.

Serce twe tam, na niebie,
Skąd płynie światła zdrój;
Nie należy do ciebie
Ni dusza twa, ni ciało —
Zabrał je władca twój
Na wieczność całą.



W STARYM SADZIE.

W starym sadzie śpiew aż głuszy;
W gąszczach gruszy
Ptaków stada;
Czeremchowe kwitnie drzewo
I ulewą
Jasność spada;
Kwiatów szepty z wiatrem płyną —
A z dziewczyną
Chłopiec gada.

— Pozwól rączkę, pozwól jeszcze,
Niech popieszczę...
Mówi do niej.
— Nie pozwolę, trudna rada...
Odpowiada,
A nie broni.

Więc wziął jedną, potem drugą...
Niezadługo
Całus dzwoni.

Wietrzyk mąci listków ciszę
I kołysze
Gniazdkiem małem.
Dwa czyżyki ponad ziemią
Słodko drzemią
W puchu białym.
Cicha miłość co im świeci
Jest dla dzieci
Ideałem.

— I nam gniazdko blizko nieba
Uwić trzeba
W bożym ładzie...
Tak dziewczyna szepce pusta
I na usta
Palec kładzie.
Pieją ptaki, szumią drzewa,
Wszystko śpiewa
W starym sadzie...

DWA SŁOWIKI.

Chodzą szepty po gaju, po łące;
Chodzą, wabią, sen i spokój płoszą;
Z ziemią gwiazdy rozmawiają drżące,
Wszystko dyszy żądzą i rozkoszą...
Nagle cisza pada wielka pośród ziół i drzew:
Słowik zaczął swój natchniony, swój królewski śpiew.

W złotych gwiazdach zatonął spojrzeniem,
Śwista, dzwoni, zawodzi i grucha;
Zda się, boskiem porwany natchnieniem,
Razem z pieśnią odda niebu ducha...
Czasem tylko milknie dumny a samotny ptak,
Nasłuchując, czy kto z druhów da istnienia znak.

I z daleka, z poza Wisły szarej,
Nadpłynęła od miasta pieśń druga;

Wśród zaułka, w kamienicy starej,
Klatkę z ptakiem wywiesił tam sługa...
Słowik miejski osowiały, bo rzucony w cień,
Jasne oczy ma wykłute, nie wie, noc czy dzień.

Roztęskniony, wśród nocy bez końca,
Zimne mury za gąszcz leśną bierze;
Gaz jaskrawy — za promienie słońca,
Gwar przekupniów — za ptactwa pacierze...
Nie zna cichych zórz zachodu, nie zna rannych ros,
I modlitwę w każdej porze odśpiewuje w głos.

Dwa słowiki teraz, jak dwaj mistrze,
Natchnieniami prześcigać się chciały —
W gaju tony brzmiały słodsze, czystsze,
Lecz zwyciężył — słowik ociemniały...
Pierwszy w śpiewie zamknął rozkosz i namiętny szał,
Drugi w niego swą tęsknotę i łzy swoje wlał.

CZYJ JEST LAS?

Ależ skarbów w gąszczach lasu!
Drogie przędze i klejnoty,
Płaszcz ze słońca szczerozłoty,
Stroje z pereł i atłasu...
Tęczowemi lśniące farby,
Czyjeż, czyje są te skarby?

Ptaszę śpiewa: — Ja tu rosnę,
Gniazdo zwijam, piosnki składam,
I echami, jak chcę, władam,
Budząc smutne lub radosne...
O wieczorze i nad ranem,
Któż jest większym, niż ja, panem?

Owad brzęczy: — Traw pokłony
Las wybija na cześć moją,

A te kwiaty, co go stroją,
To stół, dla mnie zastawiony...
Wśród słodkiego żyjąc wczasu,
Czyż nie jestem władcą lasu?

Trawy szepcą: — W pierś olbrzyma
Wpuściłyśmy sieć korzeni,
Las tej sieci nie wypleni,
Bo go pęt milionem trzyma;
Mchów i trawek zastęp dziki,
To rząd leśnej respubliki...

Słońce mówi: — Leśne cuda
To promieni moich dzieło;
Ze mnie wszystko byt swój wzięło,
Czem zakwita ziemska gruda;
Las bez ciepła mego zginie,
Ja więc władam w nim jedynie...

Drzewa szumią: — Czasu zimy,
Stygnie słońce, więdną zioła;
A my zawsze dumne czoła
Ku niebiosom podnosimy...
Kiedy inni śpią nieczule,
My tu władcy, my tu króle.

Wreszcie kupiec głos zabierze:
— Długim trudem, nie zabawą,
Jam do lasu zdobył prawo,

Prawo trwałe — na papierze...
Nikt go dziś już nie odmieni,
Bo akt kupna mam w kieszeni.

A poeta pilnie zważa,
Co wassale gwarzą leśni,
Potem wszystko wkłada w pieśni
I w tych pieśniach las odtwarza;
Las z nim śpiewa, las z nim gada —
Czyż nie on to lasem włada?



W UPOJENIU.

Już miesiąc cały trwa to upojenie,
  Ten szał, co z serca pędzi krew do twarzy,
I w oczach złote zapala płomienie
I szkarłatnemi wargami się żarzy
I w taki nadmiar szczęścia wprawia ciało,
Że drży, jakby się z duszą rozstać miało...

Obłęd bachiczny — grzeszny, boski, dziki,
Co bunt podnosi przeciwko naturze,
Bo te namiętne, nieprzytomne krzyki
I te zrodzone ze krwi wrzącej burze
Mówią, że lepiej spłonąć raz w wybuchu,
Niż się przez wieczność tlić w sennym bezruchu.

Miesiąc — niewiele... Jednak kto policzy
Wszystkie w nim chwile, jak krople w potoku,

Upajającej tak pełne słodyczy,
Jako jagoda rzeźwiącego soku;
W jeden różaniec kto ziarna te zmieści,
Pozna jak wiele w nich może być treści.

O złote ranki! o srebrne wieczory!
Maj — bzy kwitnące — księżyc — jęk słowika...
W dzień świat się stroi w tęczowe kolory,
A nocą płynie powietrzem muzyka,
Niby stłumione harf eolskich granie,
Niby fal szepty, niby całowanie...

Odblask ich szczęścia wszystko opromienia...
Warszawa? — eden! Wisła? — pas błękitu!
Łazienki? — prolog do wniebowstąpienia!
Nawet widnokrąg miejski w porze świtu,
Osnuty mgłami, brudny, szary, dymny
Z piersi pochwalne dobywa im hymny.

Oddani sobie ufnie, bez podziału,
Poczucie bytów oddzielnych stracili.
Ten sam duch służy dwoistemu ciału,
I w jedność stapia je w płomiennej chwili.
Prąd ich rozkoszny wstrząsa równocześnie
I żyją w ciągłych zachwytach, jak we śnie.

Czasem mu ona z objęć się wyrywa
I drżąc, jak w lesie zbłąkane pastuszę,
„Lękam się ciebie — szepce, ledwie żywa —

Bo w pocałunkach wypijasz mi duszę;
W uściskach twoich gdzieś w zaświaty płynę,
Mdleję, zamieram, roztapiam się, ginę...“

Lecz zwykle nie trwa obawa ta długo.
Znów mu na własność oddaje się cała;
Jest mu kochanką, niewolnicą, sługą,
Ofiarę czyni z duszy swej i ciała:
„Chcę zginąć — woła — w piekle albo w niebie,
Ale chcę zginąć z tobą i przez ciebie!...“

. . . .

EROTYK.

Jeśli cię widzę piękną, to dlatego,
Że myśli moich zdobi cię odbicie,
Że na cię pada światło ducha mego,
Blask, co rozwidnia mi życie.

Wzrok twój, sam przez się, jest-że jaką siłą?
Cóż mogą zdziałać oczy pół-dziecięce?
Serce cię moje silną uczyniło
Ku szczęściu swemu i męce.

Tyranem jesteś, ale z woli ludu,
Więzisz uśmiechem, mordujesz oczyma,
Lecz, by cię strącić, nie potrzeba cudu:
Dość cofnąć rękę, co-ć trzyma.

Człowiek, na mękę wydana istota,
W samodręczeniu mistrz niezmordowany,

Nawet z miłości najszczerszego złota
Ukuł dla siebie kajdany.

Ileż to ofiar bierze codzień piekło
Z pośród kochanków szalonych gromady!
Ileż serc dzielnych krwią przez was ociekło,
Wile! rusałki! najady!

Ale jest inne przeznaczenie twoje,
Wdzięku niewieści, harmonii symbolu:
Ty masz być dłonią, co ociera znoje,
Lekiem, co broni od bolu.

I nie panuje ten wdzięk, ale służy —
Jak służą kwiaty owocnemu drzewu,
Jak służą sadom wonne tchnienia róży
I słowiczego łzy śpiewu.

Ty jesteś ducha mojego zwierciadło,
W twym głosie echo własnych głosów słyszę;
By serce w tobie wybrankę odgadło,
Dać musisz: rozkosz i ciszę.

Lecz brać nie będziesz myśli wolnej w pęta
I stawać lotom wysokim na wstręcie,
Bo tego ziemska nie zwiąże ponęta,
Co w Bogu miało poczęcie.

MIŁOŚĆ KOBIETY.

Czem ta ziemia? — Okrwawioną knieją,
Gdzie się gryzą ludzie i zwierzęta.
Czem to niebo? — Gwiazd i chmur zawieją,
Co nas straszy, zimna, niepojęta.
Czem to życie? — Zawodów łańcuchem,
Potykaniem się ciągłem w ciemności,
Bojem z ludźmi, walką z własnym duchem,
Splotem chorób, nędz i nieprawości.
Przeszłość w mogile, przyszłość zakryta,
Na progu boleść, nicość u mety...
I jeden tylko kwiat tu zakwita:
Miłość kobiety.

Wśród jałowej istnienia pustyni
Prawie boska kwiatu tego władza —
Niech więc z nami czarodziejstwa czyni

I niebiosa na ziemię sprowadza.
Niechaj będzie zgorzkniałych osłodą,
Niechaj będzie smutnych pocieszeniem,
Niechaj będzie za pracę nagrodą,
Niechaj będzie w ciemnościach promieniem.
U wrót niebiańskich stojąc na straży,
Niech służbę swoją pełni dostojnie,
I najdzielniejszych tylko niech darzy
W życiowej wojnie.

KRAINA CUDÓW...

Kraina cudów, marzenia świat,
Czarują mnie swym urokiem;
I w cieniach nocy i w świtu mgle,
Przed duszy widzę je wzrokiem...

Kraina cudów, marzenia świat,
Zbudziły przeszłość mą całą:
Zagasłe blaski, rozwiane sny,
Ach! wszystko w nich zmartwychwstało...

Kraina cudów, marzenia świat,
Dają mi pragnień wcielenie —
Potęgę siły, miłości skarb
Mam w nich na każde skinienie...

Kraina cudów, marzenia świat,
Zaklęły wszystkie me chęci —
Przez własną trumnę do nichbym biegł,
Bez żalu i bez pamięci!...

DO KRAJU SŁOŃCA...

Do kraju słońca, do kraju wiosny,
Ucieka ptaków drużyna,
Kiedy jęk wichru słychać żałosny,
I jesień ziębić poczyna.

Przed zawieruchą bolesnych wrażeń,
W burzliwej uczuć rozterce,
Do kraju pieśni, do kraju marzeń,
Ucieka smutne me serce...

NA JESIEŃ...

Trzeba poić słonecznością duszę
W dniach młodości, wiosny i wesela,
Póki kwiatem ku niebu wystrzela,
Póki nie wie co słoty i susze.

Później, nakształt trującego ziela,
Jad w nią sączą zawodów katusze
I zapada powoli w tę głuszę,
Którą krok już od śmierci oddziela.

W bezsłonecznej żywota jesieni,
Gdy los wszystkie marzenia pogrzebie
I w pustynię ogród serca zmieni,

Na pochmurnem dni powszednich niebie
Znikąd zbawczych nie dojrzy promieni,
Kto ich dobyć nie będzie mógł — z siebie!

OSTATNIE KWIATY.

Gdy wiosna dzwoni dzwonkami polnemi
I zdrowie światów pije z róż kielicha,
Na przeciążonej wonnym kwiatem ziemi,
Nikt, w zbytku skarbów, nie tęskni za niemi,
Nikt do nich z serca nie wzdycha.

Ale gdy jesień ogrody spustoszy
Jakże nam drogi najskromniejszy kwiatek!
Chwytamy listki, nim je wiatr rozproszy,
Bo to ostatnie już krople rozkoszy,
Bo to już szczęścia ostatek!

Zgon rychły wieści korona ich blada,
Mówią o smutnym wszelkiej rzeczy końcu,
Duch jednak do nich łakomie przypada
Jakby chciał, zanim nadejdzie zagłada,
Raz jeszcze skąpać się w słońcu.

Kwiaty przedgrobne! które jesień stroi
Blado-różowo i blado-błękitnie!
W pozaświatowej, bezpiecznej ostoi,
Co się już zimy pogróżek nie boi,
    Czy też z was który odkwitnie?...





III

OBRAZY I ZARYSY



W KAMIENICY »POD OKRĘTEM«.

I.

A. D. MILESIMO QUINGENTESIMO...

W kamienicy „pod Okrętem"
Mieszka imćpan Pieter Rzepa,
Honoratus et famatus,
Chociaż z miny: chłop od cepa.

Na twarz spada mu czupryna
Przystrzyżona z mazowiecka;
Delia na nim dziwną modą:
Pół-hiszpańska, pół-niemiecka.

Chociaż nie jest bakałarzem,
Zna się z greką i łaciną;
Wąs ma szwedzki, brodę włoską,
A węgierskie pija wino.

Na ratuszu Pieter siada,
Kiedy sądzą winowajcę;
Jest ławnikiem, lecz niedługo
Wliczon będzie między rajce.

W starej Farze błyszczy świecznik
Jego sumptem zakupiony;
Nabył go aż w Norymberdze,
Jeżdżąc z młodu w tamte strony.

Za to w święta uroczyste,
Wśród kadzideł wonnych dymu,
Krocząc między najpierwszymi,
Trzyma kij od baldachimu...

Pieter w życiu nie dotykał
Ani szabli, ani sochy,
Służył tylko Merkuremu
I miał z winem wielkie lochy.

Stamtąd czerpał naród wszystek
Muszkatele i rywoły,
Tokaj, seki, alikanty,
Petercyment i pinioły.

Imćpan Rzepa przez pół wieku
Jeździł lądem, pływał morzem,
I do kraju zwoził wszystko,
Czem weselić ducha możem...

Więc rycerstwo, więc mieszczanie,
Więc kościelni dostojnicy,
Sam król nawet, z szumnym dworem,
Do Piotrowej szli piwnicy.

Boski nektar z grubych beczek
Lał się w gardła, z gardeł w brzuchy,
Budząc miłość, trefność, wigor
I rycerskiej krwi wybuchy.

Wysychały wielkie beczki,
Lud opróżniał je do czysta,
Lecz grubiała za to skrzynia
Okowana i zamczysta...

W cudzym lochu pod Ratuszem
Już jej wkrótce było ciasno —
Więc rzekł Pieter, w łeb się drapiąc:
„Trza postawić budę własną...“

I stanęła kamienica
Wązka, długa, jak Don-Kichot,
Niby krucha, a krzepciejsza
Od późniejszych, strojnych lichot.

Ponad bramą, trefnym kształtem,
Okręt z głazu wyciął snycerz,
Na znak, że dom wzniósł merkator,
Nie zaś rolnik, ksiądz lub rycerz.

A Pietrowi wspominało
Symboliczne to wycięcie,
Że do niego i fortuna
Przypłynęła — na okręcie.

Stary winiarz czasem marzy,
(Nie wzbronione to nikomu)
Że prozapia *Rzepae gentis*
Wyjść ma właśnie z tego domu.

Przy dukatów złudnym blasku
Osobliwe rzeczy roi:
Widzi córkę w złotej mitrze,
Widzi syna w złotej zbroi...

A gdy ducha rozkołysze,
Jeszcze dalej w przyszłość leci
I przed sennym jego wzrokiem
Stają wnuki — wnuków dzieci...

Tłum potomstwa go otacza,
Rzepa w Rzepę setne chłopy,
Przy nich dziewki urodziwe,
Splendor całej Europy.

Wodze, sędzie, senatory,
Strojnym pocztem dumnie suną;
Tu lśni biret kardynalski,
Ówdzie płonie „Złote Runo“.

Obok mężów białogłowy
W perłach, piórach, aksamicie;
Nie ma takich barw wirydarz
W najpiękniejszym swym rozkwicie!

Pieter śmieje się i płacze,
Pierś mu szczęściem dyszy... Nagle
Spływa okręt z ponad bramy
I rozwija wszystkie żagle.

„Hej! na pokład! — sternik woła, —
Do mnie męże i niewiasty!“
I sadowi się tłum cały,
Wyzłocony, ogoniasty...

Nad załogą z wyżyn masztu
Wiewa flaga okazała,
A na fladze herb nad herby:
W czarnem polu rzepa biała!

Wpłynął okręt na błękity,
Srebrne chmurki piersią porze;
Dookoła na multankach
Aniołeczki grają boże...

Brzmi muzyka i śpiewanie,
Echo płynie, jak po stepie,
A wśród wrzawy słychać tylko:
„Rzepa... Rzepy... Rzepą... Rzepie...“
. . . .

....

II.

A. D. MILESIMO SEXCENTESIMO...

W kamienicy „pod Okrętem“
Mieszka doktór Paweł Rapa
(Rzepą zwać się nie wypada
Adeptowi Eskulapa;

Ten obyczaj z Niemiec przyszedł
I ogarnął *totus mundus;*
Sam król nie chce być Zygmuntem,
Lecz się przezwał *Sigismundus).*

Paweł nie wziął po swym dziadzie
Gustów ciała ani duszy:
Zamiast suszyć beczki z winem,
Suszy zioła i mózg suszy.

W lochu, gdzie stał ongi tokaj,
Alchemicką ma gorzelnię;
Całe noce w niej przepędza,
Opatrzywszy zamki szczelnie.

Kamień mędrców tam przyrządza
I eliksir, lek najrzadszy;
W dachu zasię wybił dziurę
I na gwiazdy przez nią patrzy.

(Gwiazd doniosłość w medycynie
Najciemniejszy zna lekoróbb;
Z ich to zbiegu i obiegu
Płynie przebieg wszystkich chorób.

Równie ważną tutaj rolę
Grają dobre i złe duchy,
Kostki z piersi nietoperza,
Tłuszcz wisielca, krew ropuchy.

Gdzie zaś nic już nie pomaga,
Tam ostrożnie i potroszku
Dawać trzeba rzecz najdroższą:
Faraonów mumię w proszku).

U magnatów i u plebsu
Doktór Rapa zdobył wziętość,
Intra muros, extra muros
Uważają go za świętość.

Ale bo też niemoc każdą
Cudotwórczą władzą leczy;
Przytem umie ślicznie gadać:
I do rzeczy — i od rzeczy...

Poważając astrologię
I alchemię z magią żeniąc,
Wskrzesił przodków swych tradycyę,
Bo do skrzyni zgarnia pieniądz.

Za to nie wziął po nich miny,
Choć to zwykły regulamin:
Piotr czerwony był jak szkarłat,
Paweł żółty jak pergamin.

Lecz i on się nie odrazu
Lekarskiego jął zawodu;
O karyerze myśląc dworskiej
Paziem króla był zamłodu.

Ale przyszły smutne chwile...
Z bojowiska pod Chocimem
Wstało widmo z siną twarzą,
Otoczone mgłą i dymem.

Przeleciało przez kraj cały
I wtargnęło do Warszawy,
Rozwijając ponad miastem
Swój proporzec czarno-krwawy...

Nie pomogły krzepkie mury,
Król nie pomógł i rycerze,
Bo ten upiór głuchoniemy
I bez szturmów miasta bierze.

Rozgościła się zaraza
W każdym dworze, w każdym domu,
Ludzie marli na ulicach
A nie było grześć ich komu...

Nie oszczędził los i Pawła!
W jednej chwili wszystko traci:
Śmierć mu bierze narzeczoną,
Bierze ojca, bierze braci...

Na ich męki z męką patrzył
A ulżyć im niczem nie mógł;
Szalał z bólu i rozpaczy,
Potem ból i rozpacz przemógł.

Rzucił króla, rzucił miasto
I pojechał na wszechnicę,
Wielkiej sztuki Hipokrata
Badać ciemne tajemnice.

Długie lata, wśród ksiąg stosu,
W swych go murach więził Kraków;
Wrócił silny w medycynie
I gwiaździarskich świadom znaków.

„Pod Okrętem“ odtąd mieszka,
Leczy mieszczan, leczy ziemian,
To księgami, to gwiazdami,
Zabawiając się naprzemian.

Sigismundus legł już w grobie,
Stary, zeschły jak papyrus;
Przeszło *regnum Ladislai*,
Na tron wstąpił *Casimirus*.

Paweł trzecie widzi rządy,
Lecz już bardzo zaszedł w lata;
Czarną niegdyś jego brodę
Gęsto srebrna nić przeplata.

Bywa jednak, że przed zimą
Krzew się suchy zazieleni...
Doktór bierze towarzyszkę
W późnej życia już jesieni.

Trzeba przecie nowych Rzepów
Wesprzeć przodków mieniem świętem,
Trzeba komuś pozostawić
Kamienicę „pod Okrętem“.

Więc poślubia pannę zacną
Ze sławetnych Gizów domu.
(Dom ten blaskiem i fortuną
Nie ustąpi byle komu;

A choć raz tam z niego wyszła
Zygmuntowa kochanica,
Za to długim pocztem rajców
I burmistrzów się zaszczyca).

Po dwóch latach, przy pomocy
Szczęśliwego planet zbiegu,
Żona darzy go dzieciątkiem
Godnem w świętych stać szeregu.

W stare mury nowe życie
Szczebiotliwy wnosi synek,
I dla Pawła odtąd niebem
Cichy w domu odpoczynek.

Wieczorami, gdy w kominie
Sypie iskry kłoda smolna,
Niańczy dziecię, pieści żonę
I małmazyę ciągnie zwolna...

W puhar wielki, szczerozłoty,
Szczerem złotem nektar płynie...
Żona śpiewa, synek gwarzy,
Skry trzaskają na kominie.

Pierś Pawłowa wzbiera szczęściem
I nic więcej mu nie trzeba;
Za te gwiazdy, co mu świecą,
Wszystkie słońca odda z nieba...

Czasem przeszłość przypomina,
Gdy się zbiorą doń przy święcie
I o dziadzie prawi swoim,
Co w świat jeździł na okręcie.

„Mój zaś okręt — kończy z dumą —
Ziemskich żeglug ma już zadość;
Do przystani on zawinął,
Której imię „Trwała Radość“.

Lecz czyż w życiu jest co trwałem?
Gdzież kres pewny ludzkiej biedy?...
Raz, gdy słowa te powtarza,
Okrzyk buchnął: „Szwedy! Szwedy!“

Próżno miasto się zasłania
Wałem paktów, murem ustaw,
Wśród rajtaryi dzikiej wrzasku,
Wjeżdża w bramy krwawy Gustaw.

Trwoga pada na Warszawę,
Ucisk jak w dniu ostatecznym;
Nikt spokojnym się nie czuje,
Nikt nie czuje się bezpiecznym.

Gdzież twa siła, panie Pawle?
Gdzież twa radość wiecznotrwała?
Popłynęła z krwi falami,
Z dymem rusznic się rozwiała.

Kule świszczą nad domami,
Dzisiaj polskie, jutro szwedzkie;
Echem strzałów, wrzawą jęków
Huczą lasy mazowieckie.

Szwed ze zdrajcą Radziejowskim
Lud uciska, klątwy miota,
Krzyczy: „Chleba!“, krzyczy: „Wina!“
Krzyczy: „Złota! złota! złota!“

Ojców miasta wzywa burmistrz
(Był nim Giza Aleksander),
„Radźmy — prawi — mężе zacni,
Jak się szwedzkich pozbyć bander?

Pan Hieronim nie ustąpi,
Znana też jest złość Gustawa;
Lytrum musi być spłacone —
Co kto może niechaj dawa.

(Tu, o szwedzkiej ktoś koronie
Myśląc, jęknął: „*Mitrum! mitrum!*“
— Poszło później to w przysłowie —
Induxisti nobis lytrum!

I zapłakał — z nim tłum cały...)
O consules! o scabini! —
Ciągnie Giza, łzy wstrzymując, —
Co kto może, niechaj czyni...

Miasto biedne, lecz w sepecie
Każdy znajdzie coś z pamiątek:
Niechaj idzie dla Molocha
I ten lepszych czasów szczątek!...“

Zaczem wszyscy do *Praetorium*
Pradziadowskie niosą skarby,
Statki złote, farfurowe
I kamienie pięknej farby.

Sznury pereł i bursztynów,
Czasze, misy i kanaki,
Wszystko biorą szwedzcy wodze,
Szwedzkie duchny i żołdaki.

Kamienica „pod Okrętem“
Smutną pustką stoi ninie;
Opróżniony loch Piotrowy...
Opróżnione Piotra skrzynie...

Szwed zdobyczy nie roztrwania —
I krwawica wnet mieszczańska
Na berlinkach i galarach
Płynie Wisłą aż do Gdańska.

Tam już na nią czeka okręt
Z krwawą flagą najezdnika;
Maszt podnosi, łup porywa
I jak złodziej chyłkiem zmyka...

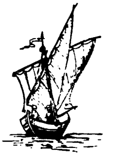
Wróg Pawłowi zabrał wszystko:
I bogactwo i spoczynek —
Dom mu tylko został stary,
Smutna żona, chory synek...

Jednak z bólów w sercu skrytych
Nie spowiada się nikomu;
Czasem tylko z gorzkim śmiechem
Na front patrzy swego domu...

„Dziadzie Pietrze! — woła, szydząc —
Co za licho cię uwiodło,
Żeś dla naszej kamienicy
Tak zawodne wybrał godło?

Patrz! Fortuna, niby Saturn,
Własne swoje niszczy dzieła:
Przypłynęła na okręcie,
Na okręcie odpłynęła!...“

. . . .



Z »PIEŚNI WENECKICH«.

I.

ODJAZD.

Jak przed myśliwym raniona zwierzyna,
Co każdy krok swój krwawym znaczy śladem,
Chciałem przed smutkiem, co mi w pierś się wrzyna,
A naprzemiany jest furyą lub gadem,
Uciec — ścigany przekleństwem Kaina.

Możebym czartu cisnął na łup świeży
To serce, bolu nożami pokłute,
Niechaj zarazy zwątpienia nie szerzy,
Niechaj nie jęczy wciąż na smutną nutę —
Ale to serce do mnie nie należy...

Smutek — myślałem — mieszka w moim domu,
W ulicy, którą muszę chodzić co dnia,

W ciszy mych komnat, gorszej, niż huk gromu,
W oczach i twarzy znanego przechodnia —
I stamtąd w mózg się wciska pokryjomu.

Gdy się od miejsc tych i ludzi odgrodzę
Gór łańcuchami i morza topielą,
Gdy w inną stronę skręcę życia wodze,
Gdy nas przepaście i góry rozdzielą,
Już się na jednej nie spotkamy drodze.

Więc dalej! naprzód! niechaj się przemienia
Scena mych widzeń, jak w „Fausta“ prologu!...
Ty zaś, co żądłem do duszy mej rdzenia
Sięgać potrafisz, a czaisz się w progu,
Żegnaj! — lub może tylko: Do widzenia!...

. . . .

I była jedna czarodziejska chwila...
Budzę się nocą, wśród świateł zamieci,
Duch mój ma lekkość i lotność motyla,
Jak biała hostya księżyc w górze świeci,
A niebo szatę wzorzystą rozchyla...

I widać w głębi jakieś modre blaski,
Jakieś chmur ciągi, niby wojska duchów,
Na wodospadach tęczowe przepaski,
Po szczytach pełno lotnych mgieł i puchów,
A w dole złote, kłębiące się piaski...

Nocże to, wieczór, czy przedświtu doba?
Światże to jeszcze, czy już pozaświecie?
Może tu kończy się serca żałoba,
Może tu uśnie, jak spłakane dziecię,
Duch, co wycierpiał już męki Hioba?

Niech śpi i niech mu przez wieczność się marzy
To cudne ziemskich kształtów przemienienie,
Góry, do wzniosłych podobne ołtarzy,
Księżyca hostya, ubrana w promienie,
I niewidzialnych zapach trybularzy...

Niechaj się poi tą alpejską ciszą,
Co, jak syrena, nęci i łaskocze,
I niech do wiecznych marzeń go kołyszą
Świerkowych lasów rozgwary urocze.
Liście, co szepcą, i źródła, co dyszą...

Chciałbym po śmierci odzyskać wesele,
Które mi w życiu przez chwilę świeciło;
Chciałbym, by żona, dzieci, przyjaciele,
Znów mię drużyną otoczyli miłą...
Ale zapewne wymagam zawiele!

Więc chciałbym, własnej zaparłszy się doli,
Patrzeć na innych spokojność i szczęście,
Widzieć ucisków koniec i niedoli,
Skruszone miecze, opuszczone pięście...
Ale i na to Fatum nie pozwoli!

Więc jak najbardziej obniżam pragnienia...
Niechaj po śmierci będę kwiatu puchem,
Księżycowego cząsteczką promienia,
Mgłą, która leci za lada podmuchem,
Kroplą, co w słońcu w tęczę się przemienia...

Niech będę dźwiękiem alpejskiego rogu,
Co się o szczyty wyniosłe roztrąca,
Pianą strumienia na skalistym progu,
Echem piosenki, co smutna i drżąca,
Zanosi skargę — jedną jeszcze — Bogu...

Niech mi nie będzie dobrze (mrzonka próżna!)
Lecz niech przynajmniej źle mi być przestanie!
Wszak ta ostatnia, pośmiertna jałmużna
Zasobów Twoich, nie uszczupli, Panie,
Chociaż od zwykłych łask Twoich tak różna!...

Gdyby Bóg prośby chciał wysłuchać moje,
Radbym się błąkać ot tu, wśród tych szczytów...
Między tych istnień zamieszany roje,
Czasembym z orłem wzlatał do błękitów,
Czasem po ziemi pełzałbym, jak zdroje...

Obcy rozkoszom i obcy boleści,
Żyłbym, nie żyjąc, istniał bez istnienia,
Głuchy na wszystkie z tego świata wieści...
I byt mój byłby, jako byt kamienia,
Bez samowiedzy, bez czucia, bez treści...

Miałem już stanu takiego przeczucie...
Było to na wsi — zimą — w dzień pogrzebu;
W żałobnej wichrów przyszło do mnie nucie,
Z zamiecią, która wygrażała niebu,
Z mrozem, co w piersiach tłumił wszystko czucie.

Odrazu wstały na polach tumany
I zasłoniły obłoki i ziemię;
Słońce z początku, jak krążek świetlany,
Później się zdało, jak oko, co drzemie,
Aż całkiem znikło wskróś śniegowej ściany.

Świst poszedł górą, jakby się do zbrodni
Nawoływała opryszków gromada,
Lecz i on zaraz jął szumieć łagodniej
I w szept się zmienił, jakim źródło gada,
Gdy je w przelocie trąca wietrzyk wschodni.

I zdało mi się, że jedność tworzymy:
Ja, mróz, śnieżyca i trup z bladem czołem...
Wszystko wchłonęła potężna pierś zimy,
Wszystko w niej jęło rozpływać się społem,
Jako w błękicie chat wieśniaczych dymy.

I pomnę dobrze ów świat bez koloru,
Co bladł i topniał przed gasnącym wzrokiem,
I mrące echa dalekiego boru
I to, że duch mój, zalewany mrokiem,
Żadnego gwałtom nie stawiał oporu...

Z takiem poddaniem szedł on na stracenie
Jakby mu obcą była żądza bytu...
Prawie z uciechą witał śmierci cienie
I otworzone przepaście błękitu
I kres swych lotów i unicestwienie.

. . . .

Ale dziś milczeć i ginąć nie mogę,
Ciągła mi skarga na usta się tłoczy.
I choćbym umiał wdziać Cezara togę
I widmu śmierci spojrzeć śmiało w oczy,
Uciekam, gnany przez, ból — nie przez trwogę...

II.

ŻYCIE W GROBIE.

Musset nazywa Wenecyę „czerwoną“...
Dziś jej czerwoność zszarzała i zbladła,
Jednak ma dotąd, jakby krwawe łono,
A z tej krwi starej lęgną się widziadła
I jak ogniki na bagnisku płoną.

Kiedy Wenecya dzisiejsza w śnie leży,
Przychodzą do niej w odwiedziny dusze...
Procesye mnichów, zalotnic, rycerzy
Błądzą po ulic krętych zawierusze
I po błyszczących kamieniach wybrzeży.

Nie uciekają te widma przede mną,
Jak przed umarłym ptaszę nie odlata...

Ach! praca śmierci nie była daremną!
Dziś jam w połowie z innego już świata,
Choć jeszcze idę drogą życia ciemną.

Malutka tylko cząstka mego ducha
Świeci tu jeszcze pomiędzy żywymi,
Lecz w płomień jasny nic jej nie rozdmucha:
Jak mgły kaganek tli się i wciąż dymi,
A czasem blaskiem chorobliwym bucha.

I nieraz mnie to zadziwia samego,
Że ta iskierka dotąď nie zagasła!
Jakieś ją siły niewidome strzegą,
Z góry odlotu oczekuje hasła —
Lecz po co świeci? dla kogo? dlaczego?

Gdybym przynajmniej zbudził w sobie wiarę,
Że moja boleść komuś pożyteczna!
Że niedaremną wypełniam ofiarę!
Że się przeznaczeń nienawiść odwieczna
Roztrąca o tę, żółci pełną, czarę!

Ach! pierśbym własną rozkrwawił umyślnie,
Z uśmiechem słodkim szedłbym na tortury,
I czekał, milcząc, aż życie dociśnie —
Gdybym miał pewność, że z tej czarnej chmury
Chociaż jednemu zbawcze światło błyśnie!

Lecz nie! Jak skorpion objęty płomieniem,
Raz po raz żądło zatapiam w swej duszy,
I nic mi nie jest w męce pocieszeniem —
Chyba myśl smętna, że gdy się rozkruszy
Ta zmysłów glina, ulecę z niej — cieniem...

Cień już nie cierpi; rzecby nawet można,
Że on w znaczeniu ziemskiem nie istnieje;
(Choć to myśl bardzo a bardzo bezbożna) —
Inne też zgoła przechodzi koleje,
Niźli istota „bezskrzydła, dwunożna"...

Cień jest — i razem: niema go. Przed oczy
Ten go przywołać potrafi jedynie,
Kto się z nim sercem lub myślą zjednoczy.
Czasem jest tylko widomy rodzinie,
Czasem kraj cały rozjaśnia lub mroczy.

Cienie kochanych mam zawsze przy sobie;
Aby je ujrzeć, dość mi zamknąć oko;
Lecz i ci także, co od wieków w grobie,
Gdy zechcę, wstają okryci pomroką
I idą do mnie, w blasku lub żałobie.

Gdy jednych miłość, innych budzi sława...
Ileż to razy, gdy czytam lub marzę,
Chmurny cień Danta przy mym boku stawa,
Lub blady Juliusz z matką swoją w parze,
Lub Bajron, nowe stanowiący prawa!

Nawet i mniejsi, nawet zgoła mali
Rzucają nieraz snu krainę ciemną...
Gdy znana piosnka zadźwięknie mi w dali,
Śpiewaczka zmarła jawi się przede mną
W zalanej światłem, koncertowej sali...

Więc i mnie wolno, czyniąc sojusz z Bogiem
Ufać, że gdy mię kopytem nie zdepce,
Żółcią nie struje, nie przebije rogiem
Krytyk — w poddasznej chociażby izdebce
Wskrzesnę i stanę przed druhem — lub wrogiem.

Skarga trwać będzie, choć bóle się skończą:
Ta biała karta jej echo przedłuży
I amiantową stanie się opończą
Dla ducha, który w życiowej podróży
W niej tylko siłę znajdował obrończą.

Cienie Wenecyan! cienie Wenecyanek!
I wyście wstały na moje zaklęcie...
Zanim was spłoszy purpurowy ranek,
Co pożar w morskim zapala odmęcie,
Migacie w mroku, jak barwisty wianek.

Już ścichły gitar i mandolin brzęki,
Północ odzwonił *San Giorgo Maggiore;*
Nawet gołębi rozkochanych jęki
Nie budzą echa, co nocą tak skore
Powtarzać szepty, śmiechy i piosenki.

Pogrzmiewa tylko morza pomrok głuchy...
Otchłań się ze snu niespokojnie zrywa,
Jak ktoś, co czuje na rękach łańcuchy,
I w sercu zemstę jadowitą skrywa
I siłą gniewu hamuje wybuchy.

Pośród zaułków krętych wężowiska
Zdławiona fala głucho wre i dyszy;
Za łodzią, która w tę gardziel się wciska,
Księżyc nie idzie; tylko z wklęsłej niszy
Madonny lampka żałobnie jej błyska...

Lecz życie kipi na wielkim kanale!
Tu, nakształt czarnych, spłoszonych łabędzi,
Stada gondoli krają szklane fale,
A czasem barka, pełna masek, pędzi,
Wszystko w zapustnym roztrącając szale.

Złoto i jedwab, pióra i koronki
W barwnym zamęcie wirują dokoła,
I miasto błyszczy, nakształt kwietnej łąki;
Płonie ust szkarłat, płoną gładkie czoła
I piersi, pełne jak różane pąki.

Próżno przepychem wabią komnat wnętrza,
Milszy świat, oku stojący otworem,
Gdzie piersiom rzeźwiej, gdzie uciecha prędsza,
I gdzie, pod łodzi gwałtownym naporem,
Słupy drżą w wodzie i fala się spiętrza.

Miłość jedynie występna, kradziona,
By szaleć, w skryte chowa się zakątki...
Wstyd tam już skonał — lampa, drgając, kona
I rzuca tęcze na bukietów szczątki,
Na alabaster odkrytego łona...

Nim jutrznię dzwonów obwoła muzyka,
Z wnętrza pałacu, przez furteczkę małą,
Gach się do łodzi zakrytej wymyka;
A czasem oknem spada tylko ciało,
Które toń wodna w milczeniu połyka...

Na placu istne rajskich ptaków stado!
Delie, łańcuchy, berety, wachlarze,
Grają przy świetle wszystkich barw kaskadą;
A młodzi szepcą i para po parze,
Pod Prokuracyi nikną kolumnadą...

Tu bawi skoczek, tam lutnista wzrusza,
Ówdzie arlekin daje widowisko;
Wrażeń wszelakich ma w bród ludzka dusza.
Teraz wznieś oczy, a głowę schyl nizko —
Przeszła dostojna postać patrycyusza.

Tłum jest oprawą, a w niej brylantami
Kobiety — wizye żyjące Tycyana:
Madonny, których cień ziemski nie plami,
Bachantki, z których każda pół-pijana,
Damy, z rudawo-złotymi włosami...

Za każdą damą skrada się, jak kocię,
Murzynek; włosy nakrywa mu fezka,
Płonąca krwawo w miesięcznej pozłocie;
Każda ma także bolońskiego pieska,
Z którym pieszczoty dzieli i łakocie.

Trójcę zaś służek pięknej Wenecyanki
Wypiżmowany czyczysbej zamyka;
Figura słodka, jak z cukrowej pianki,
Co gra przy żonie rolę niewolnika,
Gdy mąż załatwia sprawy — u kochanki.

Miłość i rozkosz, filozofia łatwa,
Sztuka co skarby pochłania w ofierze,
Oto, czem żyje republiki dziatwa;
Potem przychodzi kolej na pacierze,
Gdy się z sumieniem rachunek zagmatwa.

Tu wieczne święto i wieczne zapusty;
Do czary, zdradną nalanej słodyczą,
Każdy się przypił łakomemi usty;
Evoë Bacche! wszystkie gardła krzyczą
I w takt kielichom śmiech podzwania pusty.

A pod kolumną Lwa, niemy i dziki,
Ze splecionemi na piersiach rękoma,
Stoi najczulszy sługa republiki —
Kat. Postać w masce, czarna, nieruchoma,
Ponuro patrzy na tłumu wybryki.

Republikańska wolność bardzo słodka,
Lecz smak zaostrza jej — sztyletu ostrze,
Kto patrycyusza wzrok niechętny spotka,
Zginął — śmierć nad nim swe skrzydła rozpostrze,
A jęki zgłuszy — zapustna grzechotka...

O tu, gdzie żebrem wygina się białem,
Most westchnień, z żywych nie widać nikogo...
W ten kąt, pijanym nie dotkniony szałem,
Oko i dusza wciskają się z trwogą —
Wśród nocy brzmi on żałobnym chórałem...

Gdy tu swem skrzydłem księżyc fale muska,
Pół toni w mroku nieprzejrzanym leży,
Drugie pół srebrzy księżycowa łuska;
Płynie ów chórał jęków czy pacierzy,
A w toń kroplami coś spada i pluska...

Kędy upadnie kropelka dzwoniąca,
Tam zaraz woda barwę swoją mieni,
Kryształ się wodny zakrwawia i zmąca,
I występuje wielki krąg czerwieni,
Który wciąż dalej niesie fala drżąca.

Już bystre wody kanału Orfano
Toczą krwi fale; już przez liczne zgięcia
Krew w wodnych ulic wsiąka sieć splątaną,
Jak w pokręcone wnętrzności zwierzęcia;
Już i laguna krwawą bryzga pianą...

Krew tu, krew wszędzie. Krwawi się *Giudecca*
I wielki kanał odział się w purpurę;
W morze się wrzyna krwią wezbrana rzeka,
I krwawy opar, uniósłszy się w górę,
Fronty pałaców czerwienią powleka...

Oto umarłe miasto zmartwychwstało
W apoteozie potężnej choć cichej!
Zbladł dzień dzisiejszy przed wczorajszą chwałą
I zamiast jawy, statecznej lecz lichej,
Oglądam marę — straszną lecz wspaniałą.

III.

SZAJLOK.

Na *Ghetto vecchio* (była noc głęboka
I księżyc rzucał światło rembrandtowe,
Nakształt szyderczo zmrużonego oka
Na domy wielkie, dziewięciopiętrowe) —
Na *Ghetto vecchio* spotkałem — Szajloka.

Odzieżą on się nie wyróżniał zgoła.
Nie miał chałata ani żółtej czapki,
Ale go z oczu poznałem i z czoła...
Jak szczur wyglądał, co uciekł z pułapki
I trwożnym wzrokiem strzela dookoła.

Na licu jego wychudzonem, chorem
Leżał mrok, jaki skryta myśl wytwarza;

Syty — a przecie zdał się głodomorem,
Bogacz — a pozór miał prawie nędzarza,
Silny — a dziecku nie stałby oporem.

I najpierw duszę moją uderzyła
Tragiczna piękność tej dziwnej postaci...
Pcha ją przed sobą fatalności siła,
A ona każdą stratą się bogaci,
Potrzebna wszystkim — i wszystkim niemiła.

Jak granit, strzałom gromowym odkryty
Stoi — choć gromy, wraz z Jowiszem, drzemią...
Wśród czarnej nocy blizkie widząc świty,
Z ziemi moc czerpie, zginie chyba z ziemią,
Bo sam czas takie omija granity.

Sam czas, co kładzie narody pokotem,
Tę postać, lichą z pozoru, oszczędza.
Oplwana śliną, obryzgana błotem,
Wie, że ją rodzą: przekleństwo i nędza,
Ale się od nich odgrodziła — złotem.

Szajlok wyklęty, Szajlok potępiony,
Gdy go w swe czary ubrała noc włoska,
Zdawał się godnym męczeńskiej korony —
Takim go smutkiem owiewała troska,
Takich mu zmarszczek kreśliła zagony.

Każdej z tych zmarszczek hieroglif odgadłem;
Tę ból wyżłobił, a tamtą tęsknota,
Owa jest dumy tajonej widziadłem,
Inną zrodziło pożądanie złota...
Te zmarszczki były dni wszystkich zwierciadłem!

Szedłem za starcem po zaułków sieci,
Przez słupy cieniów i przez słupy srebra...
Tutaj kanału woda nam zaświeci,
Owdzie łuk mostu błyśnie nakształt żebra...
Cicho, że słychać jak dusza przeleci.

Żyd podejrzliwie opatrywał mury,
Ganków wysokość, okratowań siłę...
A *Ghetto* spało — i tylko z za chmury
Na tę głęboką, kamienną mogiłę
Spoglądał księżyc — jak ona ponury.

Dziś bram tu niema, które o zachodzie
Wysłańcy doży z klątwą zamykali,
Dziś jesteś wolny, żydowski narodzie!
Czemuż tak dzikim płomieniem się pali
Wzrok tego starca o zwichrzonej brodzie?

Izrael kupczy dziś po mieście całem,
Na *Canalazzo* ma swoje pałace,
Giełda głos jego przyjmuje z zapałem...
Czemuż ten starzec wlecze się przez place
Tak trwożny duchem, tak złamany ciałem?

Na szalach, które dzierżą teraz sędzie,
Jednako waży: Szajlok i Antonio,
Nie zna przesądów ślepe praw narzędzie...
Czemuż w niezgodzie z powszechną harmonią
Ten starzec zdradę upatruje wszędzie?

Tułacz! — w tem wszystko. Jest mi prawie bratem,
Gdyż obaj próżno spoczynku szukamy;
Lecz moje *Ghetto* nazywa się światem,
Daremnie chciałbym wyjść za jego bramy
I wolność dla mnie jest paproci kwiatem...

Tułacz!... Współczuciem serce me wezbrało
Nad starca gorzkim, opłakanym losem,
Nad jego przodków podeptaną chwałą,
Nad tem, że stoi niedorżniętym kłosem
Wśród pola, które wyschło i zdziczało...

Padającemu pod jarzmem niełaski
Chciałem poszepnąć słowo pokrzepienia —
Wtem księżyc wyjrzał, mrok rozdarły blaski
I starca postać wyszła do mnie z cienia.
Zadrżałem — przy mnie stał Szajlok bez maski.

Stał, z czarnych oczów miecąc błyskawice
Groźny, zawzięty jak zwierz, co krwią broczy
I nagle wszystkie ducha tajemnice
Jak dym kraterem wyszły mu przez oczy;
Postać urosła, rozgorzało lice...

„Chrześcijańskiego ciała funt! funt ciała!“
Ryknął i ręce wysunął jak szpony.
A duszy mojej, choć dużo doznała,
Tak się okropnym wydał ten szalony,
Że nagłym bólem przeszyta — zdrętwiała.

Dokoła, nakształt szatańskiego *scherza*
Chór pisków buchnął z ulic pełnych śmieci
I głosem, który do mózgu się wwierca,
Wiedźmy bezzębne, wyrostki i dzieci
Zawrzasły: „Ciała! Funt ciała z pod serca!“

Potem ta burza ścichła i przepadła,
I echo tylko jękło po niej łzawe...
Ale twarz starca dzika i zajadła
Wciąż we mnie oczy zatapiała krwawe
I przerażała mnie nakształt widziadła.

Pod tem spojrzeniem, które okamienia,
Czułem, że stygną we mnie myśli tkliwe,
Że serce zwolna w skałę się zamienia,
Że w duszy wstają czucia zimne, krzywe,
A odlatują promienne złudzenia.

I zrozumiałem — a myśl to żałośna —
Że on już dla mnie zawsze będzie niemy,
Że nam się inną zda zima i wiosna,
Że ból i rozkosz inaczej pojmiemy —
On — krzew pustyni, ja — północna sosna.

I choćby nawet dusza moja cała
Moc swą skupiła w przywiązaniu tkliwem
I uścisk bratni mu ofiarowała —
Uścisk nie stanie się trwałem ogniwem —
Bo on wciąż będzie wołał o funt ciała!



STROFY ULICZNE.

I.

Nizko mgła się wlecze brudna
Po ziemi;
Gaz połyska w niej oczami
Żółtemi...

Łatwiej duszy skrzydła zwinąć
Dla chleba,
Niż wśród mgły tej znaleść drogę
Do nieba.

II.

Na ulicy, jak na scenie,
Każdy sztuczną miewa twarz;
Na dnie serca skrył cierpienie,
Przy uczuciach trzyma straż.

Na ulicy, jak na scenie,
Młody, stary, maskę wdział;
Ten gra spokój, ten znudzenie,
Tamten znów światowy szał.

Na ulicy, jak na scenie,
Ziemski się wypięknia byt...
Tak w skał wnętrzu wrą płomienie,
Szkliste lody zdobią szczyt.

III.

Wasza uroda, tak podziwiana,
O piękne, miejskie damy!
Jest jako obraz, którego wartość
Zawisła od tła i ramy.

Nie przez przyrodę daną została
Płeć wasza, matowo blada:
Sztucznie ją tworzy blask chorobliwy,
Co z murów na was pada.

W źrenicach waszych iskry migoczą,
Strzela z nich błysk pioruna...
Cóż cud ten sprawia? — Odbita od nich
Gazu jaskrawa łuna.

Każda mężczyznę łatwo usidli
Westchnieniem lub uśmiechem —
Lecz śmiech i smutek nie z serca płyną,
Teatrów one echem.

Wdzięk wasz jest słodki, upajający,
Lotny, jak woń storczyka...
Ale się bardziej w sukni wytwornej,
Niźli w was samych zamyka.

O! gdyby w inną przenieść was sferę,
Pod niebo czyste, jasne,
Gdyby was sztucznych pozbawić blasków,
W powaby ubrać własne;

Gdyby przy każdej, dla porównania,
Rzeźbę umieścić grecką:
Boginię z Melos, matkę miłości,
Dyanę, czystą jak dziecko;

Gdyby surowej poddać was próbie
Powietrza, słońca, wody,
I sycić wami proste pragnienia,
Nie sztucznych wrażeń głody;

Gdyby, rzuciwszy zbytnie dodatki,
Treść pozostawić samą —
Ileżby z wabnych wdzięków obrazu
Zniknęło — z tłem i ramą!

IV.

Gdy chcesz samotnym być,
Snuć wolno pasmo dum,
Nie w las, nie w pole idź,
Lecz między tłum.

Fijołków oczy, z mchu,
Podpatrzą ciebie tam;
Tu wsiąkłeś kroplą dżdżu,
I jesteś sam.

Cóż, że ci miasto w twarz
Rzuca swych wrzasków chór?
Ty pierwsze skrzypce grasz,
A ono — wtór.

V.

O miasto! masz ty upojenia,
Jakich nie dają wiejskie wczasy —
Gdy się ulica rozpłomienia
I wśród namiętnych rozmów wrzenia
Szumią koronki i atłasy...

Słyszysz, jak huczą zmysłów burze?
Jak kipią dzikie żądz bezprawia?
Tłum wzgardził ciszą, depce róże,
Z cegieł świat stworzył — i naturze
Z pychą swe dzieło przeciwstawia.

Stąd, jako z ciasnej skał gardzieli,
Wzrok nie wybiegnie aż do nieba;
Ludzie w gazowych gwiazd topieli
Jak w kręgu złotym się zamknęli —
Świateł niebieskich im nie trzeba...

Idziesz, niesiony ludzką falą,
Jakbyś sen roił gorączkowy —

Świat ci biesiadną zda się salą,
Kędy się słońca sztuczne palą
I, ze krwią, bije szał do głowy.

Tu ci melodya rozemdlona
Załaskotała słodko nerwy,
Tam w nagie chwyta cię ramiona
Orgia uliczna rozbestwiona —
A morze ludzkie wre bez przerwy.

I w zmysłach, żądnych świeżej strawy,
Wstają nieznane ci pragnienia:
Pożądasz bogactw i zabawy,
Miłostek wściekłych, hucznej sławy,
Snów ze krwi, złota i płomienia...

VI.

Północ — księżyc — mgła...
Ulica bez ruchu...
Światło latarń drga,
Miasto śpi jak w puchu.

Czasem przeciw mgłom,
Pod mlecznym tumanem
Mrugnie światłem dom
Jak okiem zaspanem...

To znów błyśnie twarz
W oknie kamienicy,
Albo ziewnie straż
Na rogu ulicy...

Coraz głębsza noc,
Mgła coraz gęściejsza;
Snu czarowna moc
Brzemię trosk umniejsza.

Za chwilę, w te mgły
Opalowo-białe,
Wsiąkną ludzkie sny,
Wsiąknie miasto całe...

Za chwilę już wzrok
Rozeznać nie zdoła:
Gdzie ogrodu mrok,
Gdzie wieża kościoła...

Zapóźniony ptak,
Z chmur patrząc w tę stronę,
Pusty ujrzy szlak,
Gniazdo wyptaszone.

I nie zgadnie już,
Lecąc w inne światy,
Że miliony dusz
Tkwią w tym kłaczku waty...

VII.

Jak fala huczy tłum,
Jak falą prąd nim wzrusza;
Ludzkiego morza szum
Mowę rzeczy zagłusza.
Górą muzyka gra
Pośród powietrznej ciszy,
Dzwon woła, jęczy, łka...
A mieszczuch tego nie słyszy.

Fala gnana przez los
Z łoskotem się roztrąca,
Żywej przyrody głos
Przytłumia i zamąca.
Gdzie dach, gdzie gzems, gdzie krzew,
W oknie każdem i w niszy
Ptactwa rozbrzmiewa śpiew...
A mieszczuch tego nie słyszy.

W wirze powszednich spraw
Upływa miejskie życie,

I zgiełk ulicznych wrzaw
Serc nawet tłumi bicie.
Brzmi wśród krzyżowych dróg
Jęk kalek, pacierz mniszy,
Przemawia świat i Bóg...
A mieszczuch tego nie słyszy.

VIII.

Wypłynęła czarna chmura
Nad dachy, nad wieże,
I rozpięła na błękitach
Skrzydła nietoperze.

A jak uśmiech traci człowiek
Ranny losu strzałą,
Tak pod chmury tej żałobą
Miasto sposępniało.

Patrz, jak szybko pustoszeją
Tłumne wpierw chodniki,
Jak ustają kół turkoty
I przekupniów krzyki;

Jak w ogrodzie milknie dziatwa
I w zadumę wpada,
I jak milkną nawet wróbli
Rozpaplane stada...

Zwierciadlane sklepów szyby
Zaszły, rzekłbyś, parą,
Najjaskrawsze barwy znaków
Wyglądają szaro;

Znikły jakby w mgłę rozwiane,
Miejskich cieplarń kwiaty:
Wykwintnisie z bladą buzią,
Jak wyjęte z waty...

Ktoś za panną pogoniwszy,
Widzi się przy babie,
I rwie mu się słowo „kocham“
Na pierwszej sylabie...

Komuś, co chciał płocho szaleć
W ulicznym odmęcie,
Z ust, do śmiechu ułożonych,
Wybiega — ziewnięcie...

Co nęciło solennością
Staje się powszednie;
Co przepychem czarowało,
Szarzeje i blednie.

I w obrazie, co przed chwilą
Roztaczał swe skarby,
Gasną nagle wszystkie blaski
I płowieją farby...

Lecz nie potrwa zmierzch ten długo
Wróci śmiech na lica,
Wróci wszystko, co weseli,
Wszystko, co zachwyca.

I zabłyśnie w dawnej gloryi
Przepych malowidła —
Niechaj tylko zwinie chmura
Niėtoperze skrzydła.

IX.

Miasto setnych skier migotem
Lśni na każdym murze;
Rzekłbyś: czara z płynnem złotem
Rozbiła się w górze.

Boski metal dachy plami,
Z gzemsów, rynien ścieka,
A gładkimi chodnikami
Płynie, jako rzeka.

W złotych świateł zawierusze
Wszystko drga i błyska;
Rozgrzały się nawet dusze
U tego ogniska.

Jaki płomień w każdem oku!
Jaki żar na licach! —
Wezbranego pęd potoku
Huczy na ulicach.

Miasto, niby faun opiły,
Tacza się i pląsa,
I dziad nawet z nad mogiły
Zjeżył butnie wąsa.

Namiętności moc wspaniała
Rząd wzięła nad światem,
A gdzie wczoraj w pąku spała,
Dziś wystrzela kwiatem.

Oczy biegną za oczami,
Ust szukają usta —
I wesołość wszystkich mami
Chochlikowa, pusta.

Wrażeń zmieścić pierś nie może,
Z szczęścia, zda się, pęknie,
Więc wybucha: „Boże! Boże!
Jak w tym świecie pięknie!...“

A tłum rośnie w majestacie
Z coraz nową siłą,
I zjawiają się postacie,
Których wpierw nie było.

Idzie szwaczka z bladą twarzą
Po bezsennej nocy,
Chore oczy jej się żarzą
Gorączką niemocy...

Z ciemnej sieni wyszedł człowiek,
Pół-nędzarz, pół-zwierzę —
Nie podnosi ciężkich powiek,
Blasków dnia się strzeże...

Ówdzie skrada się rozbitek
Bez wiary i siły —
Brak zapału, zwątpień zbytek
Szczęście w nim zabiły...

MOJA RZEKA.

Nad błękitną moją Narwią
Najpiękniej się łąki barwią,
Najmiłośniej szumią drzewa
I najmilej słowik śpiewa.

Nad tą rzeką, nad tą moją,
Poświęcane chaty stoją,
A w nich zbożność i prostota,
I pogoda mieszka złota.

Dużom roił i doznawał,
Przemęczyłem życia kawał,
A te brzegi, choć tak skromne,
Zawsze myślom mym przytomne.

Twoją postać nieuczoną
I twą mowę niepieszczoną
Zapamiętam do mogiły,
Nadnarwiański kmieciu miły!

Wielka czapa z kokardami
I sukmana z pętlicami
Bardziej oczy cieszą moje,
Niż zamorskie dziwne stroje.

Wiem, jak w polu kosą śmigasz,
Jak od święta wąs przystrzygasz,
Jak za dziewką w tańcu biegasz,
A w kościele krzyżem legasz.

Znam twe pieśni i twe baśnie,
Znam przyjaźnie i znam waśnie,
I zawsze mnie silnie wzrusza
Twoja prosta, szczera dusza.

Nad brzegami mojej rzeki
Są na smutek dzielne leki,
Co ratują od rozbicia
I wracają chęć do życia.

Dziwne kryją w sobie moce
Tamte ranki, tamte noce,
Łąk nadrzecznych wonne kwiaty
I ziół leśnych aromaty.

Gdybym wrócił w swoje strony,
Może byłbym ocalony:
Dawna wiara, dawna siła
Znów-by może pierś wzmocniła.

Lecz z tym wiatrem, pod obłoki,
Wpierw-by wybiegł jęk głęboki,
Lecz-by pierwej na tę trawę
Łzy musiały upaść krwawe...

. . . .

Do mej rzeki, jak do czary,
Przysiadł bokiem zamek stary;
Pije blask jej i pogodę,
I wspomina lata młode.

Ogród, mroczny murów cieniem,
Opasuje go pierścieniem,
A zaś tkane kwieciem wzgórze
Ma ten zamek za podnóże.

Fala drżąca, łaskotliwa,
Do stóp samych mu podpływa,
I w północną, głuchą ciszę
Do snu pieśnią go kołysze.

On jej wzajem rozpowiada
Swoje dzieje od pradziada:
Kto go zrodził, kto wychował,
Kogo kochał, z kim wojował.

Jako niegdyś w ognia fali
Jaźwingowie go skąpali,
Obłożywszy mury w koło
Stosem głowni zlanych smołą;

Jako później Szwedów nawał
Dwakroć szturmem go dostawał —
(Dotąd jeszcze siedzą w murze
Szwedzkich armat kule duże);

Jako później w północ samą,
W wielkiej sali ponad bramą,
Zaciągnąwszy zbrojną wartę,
Jadł wieczerzę Bonaparte.

(Sztab, w skupieniu należytem,
Śniadał potem z apetytem,
A po zupie i pieczeni,
Schował srebra do kieszeni).

A gdy zerwie wspomnień wątek,
Gdy zabraknie mu pamiątek,
Może starzec wspomni sobie
O ostatniej, cichej dobie.

O dziedzińcu pełnym trawy,
Sadzie pełnym ptasiej wrzawy,
O jesiennych, bladych kwiatach,
Pustych sieniach i komnatach.

Może wśród tych komnat ciszy
Krzyki dziatwy znów usłyszy,
Co z drzemiącem zamku echem
Drażniła się pustym śmiechem.

. . . .

MIASTECZKO.

I.

MICHAŁ RAKIETA.

W końcu krzywej uliczki
Osiadł Michał Rakieta,
Trochę wojak, szewc trochę,
A najwięcej — poeta.

Osunęła się w ziemię
Oficynka gdzie mieszka,
Rumiankami zarosła
Prowadząca doń ścieżka.

Lecz choć stare domostwo,
Od Michała nie starsze,
On z rzeźkością młodzieńczą
Wygwizduje wciąż marsze...

Wróbel mu się przedrzeźnia
W agrestowym gdzieś krzaku,
A młotek jego skacze
Jak jeździec do ataku.

Skacze w tempie galopa,
Trzymany ręką mistrza,
Bo jucht gładzi na buty
Dla samego burmistrza.

W oficynce zapadłej,
Wśród powojów i bluszczy,
Michał żyje samotnie
Jak pelikan na puszczy.

Lecz niech tylko próg przejdzie —
Banda przy nim wnet cała;
Wszystkie chłopcy z miasteczka
Lecą do „jenerała“.

On za miasto wychodzi
Z rozkrzyczaną drużyną,
Gdzie łączka się zieleni
Zarośnięta wierzbiną.

Wnet tam kijem zielonym
Wywija każdy chłopiec,
I banda na graniczny
Z wrzaskiem rzuca się kopiec.

Michał krótszą gałązką
Cel wskazuje im zdala,
Doradza i zagrzewa,
To gani, to pochwala...

Potem szewcka robota
Idzie zwykle niesporo,
Staruszek nad kopytem
Z głową zasiada chorą.

Nie gwiżdże marszów rzeźkich,
Lecz ze zwieszoną głową
Gorzkie, ach! gorzkie żale
Złamanym ciągnie głosem.

II.

DZWONY.

A te dzwony! te dzwony!
Gdy zabrzmią wśród błękitu,
Po ziemi i po murach
Idą dreszcze zachwytu.

Aż do najdalszych kresów,
Aż po chatki rybacze,
Miasteczko drży i dźwięczy,
I modli się, i płacze...

Gdy ich serca przed sumą
Rozkołysze niedziela,
Przysiągłbyś, że to w chmurach
Anielska gra kapela.

Brzmią tam basy głębokie,
Wiolin brzmi fletowy,
Dźwięki śpiżu, kryształu
I ust lubych wymowy.

Pod wieczór, już smętniejsze,
Ciszej na nieszpór dzwonią,
Jak gdyby odurzone
Kadzideł mocnych wonią.

A jak dym z trybularza,
Tak melodya senliwa
W letnim, przejrzystym mroku
Powoli się rozpływa.

Gdy kto z mieszczan do Boga
Z ziemskiej wraca tułaczki,
Dzwony nad jego trumną
Rozpaczają jak płaczki.

W pomieszanym ich chórze
Dziwne wówczas brzmią głosy:
Dźwięczy rydel grabarza,
Szczęka krzywa stal kosy.

Niekiedy sygnaturka,
Jak przelękła ptaszyna,
Głosem drżącym, zdyszanym
Jęczeć w górze poczyna.

Kto w mieście ją usłyszy,
Zamyśla się i lęka;
Kogo doleci w domu —
Przed obrazami klęka.

Wie każdy, że to gasną
Czyjegoś życia zorze,
Że ktoś w cichem miasteczku
Kona — skonać nie może...

Inny jest jeszcze śpiewak
Rozgłośny, chociaż mały,
Co oprócz letnich skwarów
Świegocze przez rok cały.

Co rano, w mgłach jesieni
I wśród zimowych mroków,
Do szkoły, do nauki
Woła dziatwę z obłoków.

Gdzie ty, chłopiąt drużyno,
Coś na owy głos biegła?
Połowę życie zgięło,
Połowa w grobach legła.

Jednych wiek okamienił,
Innym pobróździł czoła,
A w górze ptak śpiżowy
Wciąż tych i tamtych woła...

Miasteczko sypia twardo,
Odmówiwszy pacierze,
Bo wie, że święty Floryan
Od przygody je strzeże.

Jednak czasem, w noc późną,
Zrywa się w nagłym lęku —
Pełne blasku ma izby,
Powietrze pełne jęku.

Dzwon wielkim głosem płacze,
Płacząc, jak człowiek gada;
W ciszy słychać wyraźnie:
„Wstawajcie! Biada! biada!“

Rozpacz głośna i skarga,
Niebo biorą na świadka —
Tak nad dziećmi boleje
Z rozdartem sercem matka...

Ale najboleściwiej
Brzmi muzyka wieżowa,
Gdy się za dachów szaniec
Słońce gasnące chowa.

W tej porze uciszenia,
Gdy głosy ziemskie drzemią,
Dzwon modlić się poczyna
Za tych, co śpią pod ziemią.

Za porwanych jak liście
Życiowym huraganem,
Co spoczęli bez krzyża
Pod głazem lub kurhanem,

Za tych, których zaraza
Zmiotła tchnieniem złowrogiem,
I co zeszli ze świata
Niepojednani z Bogiem.

Wieczornej zorzy odblask
Maluje krwawo mury,
I rzeka, szemrząc, niesie
Drżące plamy purpury.

Krzyż na wieży kościelnej
Połyskuje ogniście
I rosa sypie perły
Na sennych krzewów liście.

Ucichły kłótnie praczek
I dziatwy bosej krzyki,
Krów tylko wracających
Smętne słychać poryki.

Nawet ogród publiczny
Tajemnym uległ czarom:
Coś śmiechy więzi w ustach
Rozchichotanym parom.

A czułe serce dzwonu
Wciąż uderza miarowo
I pieśnią brzmi potężną,
Chociaż jednotonową.

A razem z dzwonem ludzie
I drzewa i kamienie
I miasto szepce całe:
„Wieczne im odpocznienie...“

III.

CMENTARZ.

Wie dziecko, gdzie najlepiej
Bawić się w „chowanego“,
Wie panna, gdzie najwięcej
Kwiecia fijołkowego.

Wie nędzarz, gdzie najskromniej
Wiodą się ludzie pyszni
I wie człowiek strapiony,
Gdzie sercu najzaciszniej.

Ile tam ptasiej wrzawy
W każdy wiosenny ranek!
Ile ptasich pacierzy,
Kłótni i zalecanek!

Jakie cienie ruchome
A blaski migotliwe!
Jak ziemia pod stopami
Drży, niby ciało żywe!

Dobrze marzyć lub czytać,
Wszedłszy między te blaski,
Gdy ławkę zastępuje
Grobowca kamień płaski.

Elegia tu nabiera
Przedziwnej głębokości
I ognistszą się staje
Gorąca pieśń miłości.

I widok stąd czarowny
Na łąki i na bory
I na rzekę, ubraną
W chmur i nieba kolory;

Na miasteczko, co w dali
Czerwienią dachów błyska
I na domki rybaków,
I na miejskie pastwiska...

Nakształt ptaka lub strzały
Leci stąd w przestrzeń oko,
Bo rzeka poszła dołem
A cmentarz siadł wysoko.

Gdy nic fali nie mąci,
Kiedy pora pogodna,
Z wysokości tej rzekę
Przeglądać można do dna.

Drżą pod wodą porostów
Szmaragdowe warkocze
I wielka, senna ryba
Srebrną łuską migocze;

Z piasku żółtego sterczą
Rdzawe ostrza i blachy,
I drobiazg rybi igra
Z tem, co siało postrachy;

Małża muszlę odmyka
Żałobną, czarno-białą —
A raki obżerają
Topielca sine ciało...

Pod młyńskiemi kołami
Woda z szumem się pieni
I krople w górę lecą
Z blaskiem drogich kamieni.

Rybak w wątłem czółenku,
Z dzieckiem, garnkiem i wędką,
Wierzchem czarnej głębiny
Prześlizguje się prędko.

Pstrzy się stado na łące
U rzecznego zakola,
Jak na suknie zielonem
Rozsypana fasola.

I głosy różne słychać:
Rżenie konia, bek kozy
I skrzyp, jaki wydają
Niesmarowane wozy.

A na cmentarzu cisza —
Umilkły ptaków stada
I tylko świerszcz na grobie
Coś szeptem opowiada.

Nie błyszczą tu marmury,
Złoto nie lśni jaskrawo,
Cmentarz ani teatrem,
Ani jest rzeźb wystawą.

W prostym na sąd rynsztunku
Idą stąd ludzie prości,
Krzyż tylko lub brzóz parę
Mając za straż swych kości.

Gdzieniegdzie świeci posąg
Z granitu lub piaskowca,
Ale ma cudzą postać
Zbłąkanego wędrowca.

I ptactwo, co obsiada
Ręce każdego krzyża,
Do niego, jak do stracha
Nigdy się nie przybliża...

Gdy kto na tym cmentarzu
Na sen wieczny się kładzie,
Zasypia tak spokojnie,
Jak ogrodnik w swym sadzie;

Albo jak mieszczuch syty,
Gdy się zdrzemnie przy stole
Wśród ulubionych sprzętów,
W rodziny miłej kole.

Nim zasnął, jeszcze uchem
Znajome głosy łowi,
Odśmiechając się w myśli
To żonie, to synkowi;

Bo wie, że go z tej drzemki,
Co wcale nie zastrasza,
Zbudzi głos: „Wstawaj, duszko,
Ksiądz przyszedł — na maryasza!...“

K O S.

O! jak dzwoni, o! jak śwista
    W klatce kos...
Co za nuta pełna, czysta!
    Co za głos!
W słuchających czułość wzbiera...
Nawet z dołu stary sknera
Wyjrzał oknem i zadziera
    W górę nos.

Wśród zaułka, co się łamie
    Tak i siak,
I gdzie wisi w każdej bramie
    Szewcki znak,
Pomocnikiem biednych ludzi,
Dzwonkiem, który śpiących budzi

I minstrelem, co ich ludzi,
    Jest ten ptak.

Otrząsł ze snu, otrząsł z rosy
    Resztę piór —
Poszły głosy pod niebiosy
    Aż do chmur.
„Kiedy zorza wstaje ranna“...
Dźwięki sypią się jak manna —
A dyszkantem stara panna
    Ciągnie wtór.

Jeszcze senność morzy szewca,
    Co się spił,
Już skrzydlaty gwiżdże piewca
    Z całych sił...
Trzeba wstawać, choć chęć słaba —
Zwlekła się też już i baba,
Stęka, skrzeczy niby żaba:
    „Gdzieś to był?“...

Wyjrzał sknera, oczy mruży
    Zaszłe mgłą
I do córki, pięknej Róży,
    Rzekł: „Ocho!“...
A dziewczyna główkę kłoni,
Bo od piosnki, co wciąż dzwoni
O „błyszczącej kwieciem błoni“,
    Echa drżą.

Już gotowy w czarnej ręce
        Błyska but;
Szewcy szyją przy piosence
        Jakby z nut.
Echa pieśnią znów zadrżały
O pielgrzymie pełnym chwały,
Co był dzielny, co był śmiały,
        W pole wiódł.

Rzadko słońce w mrok zaułka
        Ciska grot,
Rzadko wróbel lub jaskółka
        Zwrócą lot;
Kos tu tylko budzi życie
O południu i o świcie,
Gdy pogoda na błękicie
        I wśród słot.

Dziwna kryje się potęga
        W śpiewie tym;
Słabiej nieraz działa księga
        Albo rym...
Do modlitwy on nagania,
Rześkim gońcem jest działania —
I pobudka do kochania
        Dźwięczy w nim.

Gdy zamilknie śpiewak kiedy,
        Boże broń,

Szewców porwie otchłań biedy,
Wódki toń...
Sknera prześpi dobę całą,
Panna weźmie ślub z kabałą —
Nawet dziecię osowiałą
Zwiesi skroń...

METAMPSYCHOZA.

Wprost mojej cichej samotni
Jest jedno białe okienko,
W którem studyuję codziennie
Romans kanarka z panienką.

Co rano, śliczny szatanek
O słodkiem imieniu Józi,
Z dygiem do klatki się zbliża
I daje ptakowi buzi.

A jakby już sama przez się
Buzia nie była dość słodka,
Jeszcze w niej cukru kawałek
Rozkoszna podaje trzpiotka.

W to graj złotemu ptakowi!
Filutem on jest nie lada,
I dziobiąc cukier, nieznacznie,
Całusy panience skrada.

To „chrup! chrup!“ słodkie śniadanko,
To „cmok! cmok!“ w różowe usta...
Doprawdy, dziś już i ptaki
Wymyślne miewają gusta!

Panna się czasem zapłoni,
Lecz zaraz wstyd przezwycięża —
Toć ptak rywalem nie będzie,
Nawet w przyszłości, dla męża...

A jednak wierz mi, panienko,
Gdybym był Józią lub Rózią,
Ostrożniejbym postępował
I bardziej drożył się z buzią.

Bywają dziwy na świecie,
Z poezyą miesza się proza...
Czy wie panienka naprzykład:
Co to jest *metampsychoza?*

Wierzyli w nią niegdyś Grecy;
Wierzy i dziś niejeden;
Na męki ona skazuje,
Lecz może stworzyć i eden.

Ten ptak, któremu cmoktanie
Wcale nie zdaje się obcem,
Kto wie, może jest za grzechy,
Zmienionym w kanarka chłopcem?

Niejeden rzekłby: „Ach z chęcią
Na losy się z nim zamienię —
Bo jest z tym chłopcem, jak z rybą
Skazaną na... utopienie!“

Więc pomyśl tylko, panienko,
Jaka się dzieje rozpusta,
Gdy codzień tak nieopatrznie
Nadstawiasz chłopcu swe usta...

A dowód metampsychozy
Jeszcze ci jeden przedstawię:
Czy widzisz na murku kota,
Co w górę zerka ciekawie?

Jak ślepie skrzą mu się gniewnie,
Jaka zawziętość w nich dzika!...
W tym kocie siedzi z pewnością —
Rywal tamtego chłopczyka.



KWIATEK JABŁONI.

Z mleczną buzią, z leciuchnym rumieńcem,
Co się blado, jak jutrzenka, płoni,
Otoczona zieloności wieńcem,
Wyglądała, jak kwiatek jabłoni.

Więc młodzieniec nie byłby młodzieńcem,
Gdyby dłoń jej trzymając w swej dłoni,
Wraz nie został zwycięzcą i jeńcem
Tego kwiatka... z loczkami u skroni.

Długo poił się jego zapachem,
Zwąc „aniołem" najpierw, potem „żoną".
Aż smak cierpki poczuł raz z przestrachem...

„Co to?" — krzyknął z twarzą zadziwioną,
Nic! — to dojrzał pod mężowskim dachem
Owoc, skryty pod kwiatu koroną.

ZROZUMIAŁA.

Siedzi panna w Łazienkowskim parku
I, ziewając, czuły romans czyta;
Puls jej bije, równo jak w zegarku,
Bo myśl książki jeszcze dla niej skryta.

Wszystko w słońcu płonie i rozkwita,
Pełno życia w każdym zakamarku;
Wśród gęstwiny naga Afrodyta
Wabi Bacha o klasycznym karku.

Panna książkę przymknęła i marzy:
W jakim celu świąteczność ta cała?
I co znaczą zachwyty pisarzy?

Nagle wzrok jej spotkał bogów ciała...
Blask rumieńca miga na jej twarzy,
Ręką serce ciśnie... Zrozumiała!

ZACHÓD SŁOŃCA.

Krwią i żółcią malując chmur stada,
Krąg słoneczny spadł między kominy,
Krwawej głowie podobny gdy spada
Zpod lśniącego noża gilotyny.

Jak o zmroku z posępnej ruiny
Nocne ptactwo chyłkiem się wykrada,
Tak wypełzła, żądna tej godziny,
Z biur i fabryk skazańców gromada.

Wszyscy nudę w smutnych twarzach noszą,
Świeży powiew piją nakształt wina
I drżą dziwną wzruszeni rozkoszą.

Tych szynk nęci, a tamtych dziewczyna...
I gdy innym zegary noc głoszą,
Dla nich dzień się dopiero zaczyna.

PESYMISTA.

Mój przyjaciel (zapewne go znacie)
W czarny kolor zawsze się ubiera,
Czyta Joba i Schoppenhauera
I ma trupią główkę przy krawacie.

Chmurnem okiem na świat on spoziera,
Jakby chadzał w manfredowej szacie,
A u kobiet, w pałacu czy w chacie,
Podziw budzi jego blada cera.

Przyjacielu o mistycznej twarzy!
Mnie nie zwiedzie smętna twa osoba...
Wiem, że puder bladością cię darzy,

A pesymizm tobie się podoba,
Nie jak cmentarz marzeniom nędzarzy,
Lecz jak ładnej blondynce — żałoba...

DO WIDZENIA.

Do widzenia!... W namiętnym wybuchu
Raz ostatni splotły się ich dłonie.
Pociąg ruszył — w mgle wieczornej tonie...
Ona na miejscu wciąż stoi bez ruchu.

„Do widzenia“ i jej dźwięczy w uchu...
Do szyb ciśnie rozpalone skronie,
Tchu jej braknie w zamkniętym wagonie —
Aż łez strumień ulżył jej na duchu.

Ona w drogę wyrusza tułaczą,
On za losu ma gonić widmami —
Jednak wiary są pełni, choć płaczą...

Lecz ta wiara zdradnie ich omami:
Prawda, że się po latach zobaczą,
Nie zobaczą się jednak — ciż sami...

IV

POD CIOSEM

2

POD CIOSEM.

Kochałem ciebie i czar twój wszystek,
Szczytów gąszcz, która pod wiatrem gnie się,
Każde twe ziółko, każdy twój kwiatek,
Lesie! Lesie!

Dziś, kiedy serce strute żałobą,
Wicher mi z płaczem szumy twe niesie;
I jużbym nie mógł stanąć przed tobą,
Lesie! lesie!

★

Z uciechą niegdyś goniłem fale,
Co wzrok i myśli niosły daleko;
Tonęły w tobie me łzy i żale,
Rzeko! rzeko!

Dziś, spragnionego snu i ochłody
Moc jakaś na dno ciągnie przed spieką,
Więc mi strasznemi są twoje wody,
Rzeko! rzeko!

★

Kłosista niwa, zbóż aromaty
Brały mi duszę w słodką niewolę,
Wielbiłem plon twój, kochałem kwiaty,
Pole! pole!

Dziś na mej niwie przepadło ziarno,
Rozrósł się oset, weszły kąkole;
Dziś mi pustynią zdajesz się czarną,
Pole! pole!

★

Gdy hasła z wyżyn było mi trzeba,
Biegłem na szczyt twój, zwieńczony chmurą,
Boś mi się zdała sąsiadką nieba,
Góro! góro!

Dziś już nie szukam znaków na niebie,
Wzrok mój do ziemi wbity ponuro,
I ani śmiałbym wstąpić na ciebie,
Góro! góro!

★

Chociaż ciążyła dłoń twa nade mną,
Zawszem przed tobą stawał w pokorze,

Prosząc o światło na drogę ciemną,
Boże! Boże!

Dziś, gdy w istnienia pasmie zawiłem
Nić się splątała — zerwie się może —
Nawet do Ciebie drogę zgubiłem,
Boże! Boże!



2

POD MUZYKĘ DZWONÓW.

Słyszysz jak jęczy cmentarny dzwon
 Wieszcząc wszystkiemu zagładę?
Żeńcem, co zbiera najsutszy plon,
Jest śmierci widziadło blade.

Żałobną wstęgą wlecze się dym
Za pochodniami jasnemi,
Światło się każde zespala z nim
I każda radość tej ziemi.

Kruszą się mury, opada kwiat,
Marnieją olbrzymów siły;
Co dnia inaczej wygląda świat
I co dnia bliższy mogiły.

Wśród mroku błądzi oślepły duch,
Nie mając wesprzeć się na czem;
Strudzeniem wszelki kończy się ruch,
A wszelka piosenka — płaczem.

Nic tu pewnego, trwałego nic,
Dziś żyje jutra nadzieją;
Blask znika z oczu, rumieniec z lic,
Pierś stygnie, myśli ciemnieją...

Niepowstrzymany niesie nas prąd,
Tajemnic pełen a niemy;
Kto nim kieruje, dokąd i skąd,
O tem nic zgoła nie wiemy.

Któż zdążył pojąć prawdziwą treść
Wszystkiego co nas otacza?
Na zgiętych barkach świat musi nieść
Klątwę wiecznego tułacza.

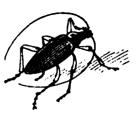
Cóż to jest przestrzeń? cóż to jest czas?
Co prawe a co nieprawe?
Czy drzewo czuje? czy żyje głaz?
Co dzieli od marzeń jawę?

Cierpię więc jestem — a potem co?
Cóż niesie przyszłość zakryta?
Czy świeci słońce za śmierci mgłą?
Czy kwiat uwiędły odkwita?

Jaka jest cena przelanych łez?
Skąd płyną ducha tęsknoty?
Gdzie niepokojów serdecznych kres?
Kiedy zabłyśnie wiek złoty?

Czem jest krążenie kosmicznych ciał?
Czem są obroty atomów?
Na czyją chwałę grzmi morski wał?
Komu wygraża huk gromów?

Wszystko niepewność i wszystko kłam,
Jak sen to życie przepływa —
I jedną tylko prawdę tu znam:
Ból, co mi serce rozrywa!



VITA BREVIS.

Życie krótkie — a przecie nazbyt jeszcze długie.
Kto z żywych nie zatęsknił choć raz za mogiłą?
Jeżeli nam sądzono jeszcze życie drugie,
Bodajby albo lepszem, albo krótszem było!

Życie krótkie... dłuższego poco życzyć sobie?
Trochę wina, co w czarze szumi dla przynęty,
Jednym haustem w młodzieńczej wypija się dobie,
A na resztę żywota pozostają — męty.

Życie krótkie — z wymiarów tylko, lecz nie z treści.
Zlicz wszystkie rzuty serca, co rozsadza łono,
Zmierz otchłań bólu, jaka w minucie się zmieści,
A pewnie drogę życia nazwiesz — nieskończoną.

Życie krótkie... Dzięk temu, kto je zrobił takiem,
Męczony z upragnieniem wita śmierci dreszcze,
Co mu są końca tortur nieomylnym znakiem.
Życie krótkie... O, czemuż nie jest krótszem jeszcze!



JUTRO.

Nikt w przyszłość patrzeć nie może spokojnie...
Wszystkim ją ciemność złowróżbna zakrywa;
I czy szczęśliwa jest, czy nieszczęśliwa,
W przyłbicy chodzi zwartej, jak na wojnie.

I jedno tylko w niej pewne: odmiana.
Nie chce, by świat ten był stojącą wodą,
Więc starym bólem zmienia wiarę młodą
I wieczór czyni odmiennym od rana.

Gdzie wczoraj róże, dzisiaj ostów pęki,
Gdzie wczoraj potok, dziś piaszczyste łoże;
Kto legł na kwiatach, wstać wśród cierni może,
Kogo śpiew uśpił, mogą zbudzić jęki.

Wśród walk codziennych, na placówce życia,
Strach i nadzieja luzują się wzajem,
I raz się przyszłość zda wyśnionym rajem,
To znów otchłanią, pełną łkań i wycia.

Lecz choćby nawet przybierała postać
Dantejskich poczwar z piekielną ich władzą,
Iść musisz naprzód, bo losy nie dadzą
Ni wstecz się cofnąć, ni na miejscu zostać.

Daremnie woła szczęśliwy: „Stój, chwilo!“
Mknie ona szybko, w coraz innej masce,
I tylko taki bywa u niej w łasce,
Kogo już wszystkie nadzieje omylą.

Bo dwie błyskotki są — biada im obu! —
Któremi szatan oszukuje zdala:
Miłość, co nędzę paryasów utrwala
I wiara w jutro, co ich gna do grobu.

IM DALEJ...

Im dalej w życie, tem smutniej, tem czarniej...
Co było gajem, w puszczę się przemienia,
Mchy rosną siwe zamiast kwietnej darni
I coraz więcej pustki, chłodu, cienia...

Człowiek powoli w ten mrok się zapuszcza.
Najpierw skraj lasu kwiatami go nęci,
Potem gąszcz falą opływa zieloną,
Potem słowików słucha bez pamięci,
Potem pomyka w głąb za dziwożoną —
Aż go nieznacznie opierścieni puszcza.

Stanął — pot zimny wilgoci mu czoło...
Kto go tu zawiódł? gdzie jest? dokąd zmierza?
Ponure szumy pogrzmiewają wkoło,

W pobliżu słychać ryk głodnego zwierza;
Chciałby się cofnąć, uciec stąd... Daremnie!
Iść musi dalej w tę otchłań, w tę ciemnię.

Słońce zostawił za sobą, a tu mu
Przyświeca księżyc, duchów goniec blady;
Przy tem umarłem świetle, wśród mar tłumu,
Umarłych zdarzeń widzi nikłe ślady
I czuje, że to przeszłości odbicie
Już mu dziś starczyć ma za całe życie!

BEZ CUDU.

I znowu się rozciepla zimna kora ziemi,
Nowe budzi się czucie w każdym drętwym nerwie,
I świat staje do walki z siłami świeżemi —
A jako w korze drzewnej ciepło rodzi czerwie,
Tak pod pieszczotą słońca, w zmartwychwstań godzinie
Lęgną się orły w skałach, robactwo w padlinie.

Próżno grotom słonecznym ciemności się bronią,
Światło zewsząd mrok ściera, puszczyki wypłasza,
I rzuca garście złota równie hojną dłonią,
Wykwintowi pałaców i nędzom poddasza —
Obojętne, czy blasków roztrąci się fala
O przybytek rozkoszy, czy o mur szpitala.

Naoścież mu otwarto i okna i dusze;
Wsiąka w błoto zaułków i w zaduch podwórza;

Tu wstrzymuje serc jęki, owdzie ciał katusze,
I, jak wino: podnieca, cieszy i odurza;
A że boleść powrotna srożej szarpać będzie,
To cóż! — o skutkach czynu nie myśli narzędzie.

Pod każdą czaszkę obłęd bezmyślny się wkrada;
Ten, co ma jutro umrzeć, rwie się dziś do skoków,
Krwawym płonie rumieńcem suchotnica blada,
Nędzarz wierzy, że skarby spadną mu z obłoków,
Treść życia wszyscy widzą w śmiechu, w ucztach, w śpie-
[wie,
I wszyscy patrzą w niebo. Dlaczego? — nikt nie wie.

Nie myśl, siebie świadoma, nie woli skupienie —
Trochę światła i ciepła te cuda sprawiły.
Tak szkło z wodą zepsutą póki kryją cienie,
Wszystko drzemie w niem martwo, bez czucia i siły,
Lecz niechaj padnie promień — żyjątek miliony
Budzą się i miłosne poczynają gony...

ŚLADY.

Po bezdrożach rozpaczy
Błądził duch mój tułaczy,
Próżno końca upatrując mąk;
I zapadał w otchłanie,
Biorąc ranę po ranie,
Gdzie zgrzyt zębów i łamanie rąk.

Czasem skrzydła go niosły
Na szczyt wiedzy wyniosły,
Między blaski wygasłe i chłód;
Lecz z tej lodów krainy
Wracał rychło w niziny,
Nieszczęśliwszy i słabszy, niż wprzód.

Wreszcie bolu katusze
Zapędziły go w głuszę,
Jak śmierć straszną, milczącą jak grób;

A gdy myśli w żałości,
Że on pierwszy tam gości,
Nagle dojrzał — krwawe ślady stóp...

I zrozumiał skruszony,
Że przez dzikie zagony,
Przez biel szczytów i otchłani czerń,
Żurawiemi łańcuchy
Wprzód już inne szły duchy,
O przydrożny kalecząc się cierń...

USPOKOJENIE.

Jeszcze ty spotkasz ducha-obrońcę
I w sercu twojem spokój zagości;
Jeszcze i tobie zaświeci słońce...
— Słońce wieczności!

Przyroda zmienia zużyte szaty;
Strojąc się, kocha; kochając, stwarza;
Ona ci nowe przyniesie kwiaty...
— Kwiaty cmentarza!

Patrz, jak się wdzięcznie drzewa kołyszą,
Tam, gdzie przed chwilą pioruny biły —
I twój się umysł wypełni ciszą...
— Ciszą mogiły!

Tyś nie umarły, jeno zemdlony;
Jeszcze modlitwa wróci cię niebu,
Jeszcze ci hejnał wydzwonią dzwony..
— Dzwony pogrzebu!

TU A TAM.

Wiosna mnie wabi swych kras urokiem
Do cichej szczęścia oazy,
Ale przed smutnym duszy mej wzrokiem
Inne powstają obrazy.

Patrzę na słońce, na ros dyamenty,
Na kwiaty modre i białe,
A widzę: sine morza odmęty
I nagą w odmętach skałę...

Tu kryształ niebios, co jak łza błyska,
Ku ziemi czule się kłoni —
Tam górą pędzą czarne chmurzyska,
Jak tabun stepowych koni.

Tu słowik, skryty w bzów wonnych pęki,
Śpiewa o zmroku i świcie —
Tam tylko sępów chrapliwe jęki
I fal rozlega się wycie.

Tu najdrobniejszy kawałek ziemi
Pod kwietnym kobiercem ginie —
Tam nagą skałę plamy rdzawemi
Mdły mech pokrywa jedynie.

Tu wiatr podzwania śpiewem syreny,
Harf eolowych muzyką —
Tam jest lwa rykiem, płaczem hyeny
I przekleństw litanią dziką.

Tu wabi rozkosz, pełnia kielicha,
Płocha pasterka na darni —
Tam myśl zdrętwiona już tylko wzdycha
Do końca długich męczarni.

Wiosna, z boginek swoich orszakiem,
Czaruje, pieści i wzrusza,
I oczy biegną kwietnym jej szlakiem —
Ale nie wchodzi nań dusza.

Ona już teraz przebywa stale
W miejscu od świata przeklętem,
Na poszczerbionej od gromów skale,
Nad czarnym morza odmętem.

Wiara tam nie ma jasnych ołtarzy,
Nie ma ich nawet nadzieja —
A pod chmurami ciężko się waży
Krwiożerczy sęp Prometeja...



CHORA DUSZA.

Jak chore oko, tak dusza chora
Silnego blasku się trwoży;
Najmilszy dla niej półcień wieczora,
Najmilsze półświatło zorzy.

Jak ptak wylękły zwinęła skrzydła,
Obcymi są dla niej swoi;
W mroku przed sobą widzi straszydła
I drży i ruszyć się boi...

Próżno do ptaka przyjaznym ruchem
Wyciągnie się czyjaś ręka —
Z bijącem sercem, z nadczułym duchem,
Nawet przyjaciół się lęka...

W ciszy, co rosą niebieską spada,
Zostawcie wy duszę chorą!
Nocami lecą siostrzyc jej stada,
Może ją z sobą zabiorą...



ŚLEPY.

Pod krzyżem usiadł ślepiec,
Skargami echa budzi:
— „Wspomóżcie! bom zaprawdę
Najnieszczęśliwszy z ludzi!

W pomroce tonę wiecznej
Co duszę mi zalała;
Obcym jest dla mnie bliźni,
Obcą przyroda cała.

Jako liszka w oprzędzie,
Duch mój gnuśnie wciąż drzemie —
Ciemność skryła mi niebo,
Ciemność skryła mi ziemię.

Nie znam słońca i planet,
Drogi nie znam przed sobą,
I nie wiem, co mnie czeka
Poza dzisiejszą dobą!“...

Każdy słucha narzekań
Z sercem współczuć gotowem;
Ten datkiem go wspomaga,
Tamten poczciwem słowem...

Ale znalazł się jeden,
Co odmówił wszystkiego...
— „I któż z nas — rzecze — więcej
Wie i widzi od niego?!“...

PROŚBA.

Gdybym koniecznie już miał
Przecierpieć mękę istnienia,
To duszy mojej, o Boże,
Daj ciche, senliwe łoże
I wybierz dla niej z miliona ciał
Ciało kamienia.

Gdybym koniecznie już miał
Rosnąć i więdnąć na ziemi,
To duszy mojej, o Panie,
Daj nizkie, proste posłanie
I jej doczesny porównaj dział
Z trawy polnemi.

Niech, myśli szalony ruch,
Spętawszy i uwięziwszy,
Złączę się z ziemią przez ziemię,
A może ból mój zadrzemie —
Bo im leniwiej tli się w kim duch,
Tem on szczęśliwszy.



I LUDZKIE SIŁY MAJĄ SWÓJ KRES...

I ludzkie siły mają swój kres;
Szczupłe jest źródło i krwi i łez;
Ból, co jad sączy do dusz i ciał,
Zgryzłby je, gdyby bez przerwy trwał.

Jak międzyakty wśród smutnych scen,
Po strasznej jawie przychodzi sen;
W snu ciszy człowiek nabiera sił,
By padał z bólu, a jednak żył.

Tak postępuje z ofiarą kat:
Onby najdłużej męczyć ją rad,
Więc ją to chwyta, to puszcza z rąk,
I wciąż ma świeżą rozkosz z jej mąk.

MORS.

Gdyby zamykał rachunki życiowe
Grób, byłby życia ostatnim rozdziałem;
Lecz on załatwia ich ledwie połowę,
Resztę w zmieszaniu rzucając niedbałem...
Ludzkość więc szuka pewnego sposobu
Wyjścia z powikłań — z tamtej strony grobu.

Natura nic nam o tem *x* nie rzekła,
Trudno je także rozwiązać rozumem —
Człowiek wciąż jednak tworzy nieba, piekła,
Zapełnia pola elizejskie tłumem,
Ufny, że znajdzie, gdy się tam dostanie,
Wszystkich doczesnych węzłów rozplątanie.

I cała nasza istność przedgrobowa
Jest tylko krótkim, ulotnym prologiem

Do sztuki, która w ciemnościach się chowa...
Jako nędzarze stoimy pod progiem,
Wstępu nam szaniec drzwi zamkniętych broni —
Klucz zaś śmierć trzyma w szkieletowej dłoni.

Straszna odźwierna milczy tajemniczo
I szczęki szydnym wykrzywia uśmiechem —
A lwy zgłodniałe, gdy po skałach ryczą,
Morze, gdy jęczy grzmotowym oddechem,
Wulkan, gdy z hukiem wyrzuca kamienie,
Mniej są okropne, niźli to — milczenie.

Więc tłukąc czołem w tę zaporę z głazu,
Kiedy już nazbyt niepewność dokuczy,
Niejeden woli rzucić się odrazu
W otchłań, co falą rozkiełznaną huczy,
Niźli zagadką dręczyć ducha wściekłą,
Co poza drzwiami: nicość, raj, czy piekło?

Niejeden gotów jęknąć z udręczenia,
Gdy mu już myśli zaciążą ołowiem:
— „Przybądź i skrusz mnie, posłanko zniszczenia!
Niech raz już słowa zagadki się dowiem!
Padnę, lecz krzyk mój nie zginie bez echa...“
. . . .
A śmierć wciąż milczy i wciąż się uśmiecha.

GŁOS STAMTĄD...

Huk gromów myśli mojej niesie pokrzepienie,
Bo przybywając z ciemnej sfer podniebnych głuszy,
Zda się krzykiem wściekłości jakiejś żywej duszy,
Która klątwą obwieszcza światu swe istnienie.

A więc jest tam ktoś? Z groźnem widzę go obliczem,
Jak zabija strzałami piorunowych grotów...
Straszna siło! czemkolwiek jesteś, wiedz, żem gotów;
Stokroć lepiej rozprawiać się z tobą, niż z niczem!

NIHIL.

Nicość! I cóż w niej złego? Alboż złem być może
To, czego wcale niema? Nicość — ciche łoże,
W którem nie śni się nawet! Granica wszechrzeczy!
Ujście, które dla siebie znalazł ból człowieczy!
Koniec trosk i zawodów, bo koniec istnienia!
Byłeś czemś, co cierpiało; śmierć cię w nic przemienia.
Nic od trwogi jest wolne, obojętne, głuche,
Nieczułe na najdzikszą faktów zawieruchę,
Nie ciemniejące w mrokach, nie płonące w słońcu;
Nic było na początku; nic będzie na końcu.
Jeżeli byt zamętem, nicość jest spokojem;
Jeżeli byt pożogą, nicość chłodnym zdrojem;
Najsłodszymi też ona urokami nęci,
Bo najsłodszy ze wszystkich ma dar — niepamięci.
Ręka losu na czarnej tablicy istnienia
Wypisała zadanie życia — do zgadnienia.

Szeregi cyfr zawiłych drażnią tam i męczą
I mózgi uciskają rozmyślań obręczą.
Mędrzec po mędrcu przy nich staje i w szał wpada —
Aż przyszła śmierć, szydersko uśmiechnięta, blada,
I jednym kościstego ramienia rozmachem
Ściera wszystko, co było dla żywych postrachem.
Dlaczegoż jednak człowiek, przeznaczeń ofiara,
Dla którego istnienie to najsroższa kara,
Lęk uczuwa śmiertelny przed ciszą niebytu?
Czemu piekło przekłada, pełne łez i zgrzytu,
Po nad oazę cichą i bezboleściwą,
Łańcucha fatalności ostatnie ogniwo?
Czemu drży przed nicością i, drżąc, w tył się ciska,
Jak koń, co zabiegł w pędzie na sam skraj urwiska
I cofnąć się nie może — a pod kopytami
Widzi otchłań, czarnemi ziejącą parami?...



J Ę K.

Rozbite pieśni słodkich narzędzie
Akordem jęknęło dzikim:
„Ach! już ci odtąd dobrze nie będzie
Nigdzie i z nikim.

Serce, co krwawi, błąka się, trwoży,
Z cichego wygnane domu,
Już skarbów swoich tu nie otworzy
Nigdy, nikomu.

I duch, choć w żywym zamknięty grobie
Światełkiem błyska zwodniczem,
Już ocalenia nie znajdzie sobie
W nikim i w niczem!“

WSZYSTKO MIJA...

Wszystko mija... Szczęśliwy zadrży przed tem słowem.
On przypił się do życia, jak Falstaff do dzbana,
I nie chciałby go niczem zastępować nowem,
I straszno mu, że uczta może być przerwana.

Ale komu dokoła wszystko w gruz się wali
I czyją pierś wciąż kąsa strasznych zgryzot żmija,
Ten od chwili obecnej uciekłby najdalej,
I za całą pociechę ma myśl: wszystko mija...

OSTATNIE PRAGNIENIE.

Niedość, że mam umierać — jeszcze czyjąś duszę
W szponach smutku i żalu pozostawiać muszę!
Jeszcze na czyjeś oczy, co mi słońcem były,
Ma padać czarnym kirem cień mojej mogiły!
Ach! o ileż spokojniej szedłbym w kraje mroku,
Wiedząc, że łzy w niczyjem nie zostawiam oku,
Że śmierć moja nikomu nie będzie żałobą,
Że niczyjego szczęścia nie biorę ze sobą...
Nawet pamięci nie chcę — chyba w sercu dziecka;
Pamięć tłumów, rzecz marna, pusta i zdradziecka.
Niech zniknę, jak przy słońcu znika mgła na łące,
Niech zgasnę, jako gasną gwiazdy spadające,
Niech roztopnę, jak rankiem topnieje głos dzwonu...
Chciałbym odejść spokojnie; chciałbym w chwili zgonu
Mieć w sobie i przy sobie pogodę i ciszę
I pewność, że *tam* płaczu swoich nie usłyszę;

Chciałbym wiedzieć, że cierpieć nie będą kochani
I że ze strasznej żalów pośmiertnych otchłani
Wybawiłem dziecięcą duszę i niewieścią —
Ja, com tę otchłań własną przemierzył boleścią!



MODLITWA.

Nadmiarem bólu zacięte wargi
Rozwiąż, Panie!
Usta, co miecą klątwy i skargi,
Ucisz, Panie!
Łaknących manny anielskiej cudu
Nakarm, Panie!
Trawionych żrącą gorączką trudu
Ochłódź, Panie!
Duchom, co w walce słabną i mdleją,
Ulżyj, Panie!
Tym, co pukają, silni nadzieją,
Otwórz, Panie!
Którym duch krzepki rwie się do boju,
Moc daj, Panie!
A którym trzeba tylko spokoju —
Odpoczywanie!

V. Z ROZMYŚLAŃ

ZAWCZEŚNIE.

Zawcześnie-m przybył, zawcześnie,
Na ten świat, ledwie poczęty!
Ach! wszystko tu jeszcze we śnie,
Gdzie spojrzeć, chaosu męty,
I kury dopiero pieją
Na świt, różowy nadzieją.

Pod haseł wspaniałych tarczą,
Egoizm broi bezkarnie,
I ludzie na siebie warczą
Trwożni, kto więcej zagarnie;
Posiew miłości przepada,
Pleni się chciwość i zdrada.

Co krok, przesądów kamienie,
Co krok, ciemnoty zapora,

Złote bozkości promienie
Wciąż ludzkość przytłumia chora;
Pierś drży od wstrętu i strachu
I skrzydłom braknie rozmachu.

Życie, co jedną trwa chwilę,
Pielgrzymią będąc gospodą,
Ciężarów nieść musi tyle,
Że jest nie zyskiem lecz szkodą;
I nie wylata na szczyty
Duch, powszedniością zabity.

Bóg zrobił cię panem świata,
A. ty w sług dusisz się kole;
Milion przesądów oplata
Rzekomo wolną twą wolę;
I furye wściekłe cię pędzą
Chorobą, uciskiem, nędzą.

Jakby los nie dość nam jeszcze
Dręczył i ciała i dusze;
Stworzono systemów kleszcze
I obowiązków katusze;
Ciasny powijak myśl pęta,
Czyniąc z nas niemowlęta.

Postępu hucząca fala
Materyi służy jedynie,
Zwierzęcość udoskonala,

Nie wie o ducha dziedzinie,
Gmach dobrobytu się piętrzy,
Lecz świat czyż lepszy i świętszy?

Choć po pradziadach, prawnuki
Cześć głoszą Bożego Syna,
Siew Chrystusowej nauki
Ledwie kiełkować poczyna.
Gdzież chrześcijańskie natchnienie?
Gdzie miłość? gdzie poświęcenie?

Namiętność rzecz zła i zdrożna,
A świętość ma cierń nad czołem;
Człowiekiem być tu nie można,
Nie można być i aniołem;
I byt się zdaje niebytem,
Tak wązkiem cieknie korytem...

. . . .

Ileż to pracy w tę przepaść runęło!
Ile bóstw nicość pożarła nieczuła,
Skruszonych ręką, która je wykuła!

Ludzkości! Danaid siostro i Tantala!
Ty jedna w stworzeń bezmiernym łańcuchu
Znasz to pragnienie, które pierś przepala!
Ty jedna tylko nosisz w chorym duchu
Żądzę, by sięgać myślą nieudolną
Dalej i wyżej, niźli sięgać wolno!

Cywilizacye, jak w lasach liść suchy
Leżą warstwami na twem cmentarzysku —
Brylanty wiedzy rozbite w okruchy,
Słońca, zagasłe po krótkim przebłysku!
Po to twa niwa rodzi kwiaty rano,
By ją wieczorem na nowo zorano.

Wszystko, co żyje, z losem swym się zgadza:
Ani chce drzewo sięgać szczytem chmury,
Ani się płazom śni lataczów władza,
Ani o pląsach myślą ciężkie góry —
Czemuż ty jedna, pomiędzy milionem,
Masz być niestrojnym, buntowniczym tonem!

Spocznij! U stóp twych tyle kwiatów rośnie,
Zrywaj je; ciesz się boskim życia darem!

Wszystko dokoła szepce ci miłośnie:
Spocznij... karm ducha obecności czarem...
Szczęście to sercom najmocniejsza zbroja;
Spocznij!
— Lecz może w spoczynku śmierć twoja?



MORITURA.

Mówią, że dni twe policzone,
Poezyo, córo nieba;
Że duchy w inną idą stronę,
Że ci umierać trzeba.

Mówią, że ludzkość rozwód bierze
Z uczuciem i zapałem,
I temu tylko ufa szczerze,
Co się oblekło ciałem.

Mówią, że minął ranek młody,
Minęło i południe,
Że już wieczorne wieją chłody
I ziębią blizkie grudnie.

Mówią, że złoty sceptr królowej
Ujmie zimna rozwaga,
I prawda ma być z posągowej
Anatomicznie naga.

★

Już ułożono stos wysoki,
Z polan wonnego drzewa;
Szczytem uderza on w obłoki,
Wkoło zapach rozlewa.

Grobów kochanek, bluszczyk dziki
Pnie się po jego zrębie,
I obsiadają go słowiki,
Sokoły i gołębie.

Już idzie moja ubóstwiona
Wsłuchana w dzwon pogrzebu,
Ku ziemi zwisłe ma ramiona,
Wzrok wzniesiony ku niebu.

Idzie bez trwogi a dostojnie,
W oczach jej błyszczy siła —
Wie, że po krótkiej z śmiercią wojnie
Tam wróci, skąd przybyła.

★

Pieśni nasze — pieśni łabędzie,
W nas poetyczność kona,
I śmierć poezyi śmiercią będzie
Całego dusz legiona.

Już Homerowe słońce zbladło,
Śmieszą proroków twarze;
Dant, zaświatowych scen zwierciadło,
Wliczon między bajarze.

Pieściwy głos twój, o Petrarko,
Echa w życiu nie budzi;
Miłość, mierzona skąpców miarką,
Ledwie tli się wśród ludzi.

Ariost, Torkwato, Milton ślepy
Odchodzą między cienie —
Panteon wieszczów, nakształt krepy
Osnuwa zapomnienie.

★

Niejedno ludzkość pogrzebała
Na duchów mogilniku;
Leży tam grecka dziewa biała
Z piorunem na pomniku.

Dziecię Fidyasza, Praksytela
Zabito prawem srogiem
Za to, że grzesznie się ośmiela
Równać człowieka z Bogiem.

Kamienny Febus już nie wskrześnie
Nie wskrzesną Afrodyty;
Olimp się jawi tylko we śnie
Przez rozwarte błękity.

Śpi grecka rzeźba w białym grobie,
Żmij kołysana sykiem —
I jest od wieków sama sobie
I trumną i pomnikiem.

★

Z przeżytych kształtów cmentarzyska,
Gdzie wszystko w proch się kruszy,
Architektury geniusz błyska
Pięknem ciałem bez duszy.

Swym go tłómaczem miały tłumy,
Wcielał ich myśli i wolę,
Chrystusom stawiał wzniosłe tumy,
Jowiszom — Kapitole.

Ale zamarła myśl skrzydlata,
Której bywał obrazem,
Niegdyś sumienie żywe świata,
Dziś bezmownym jest głazem.

Wybujał, kwiatów wydał puchy,
Owocem błysł ogniście —
Dzisiaj pień po nim tylko suchy
I półuwiędłe liście.

★

Zachodzi złote słońce sztuki,
Chmurą skryte złowieszczą...
Z kolei, nieszczęść czarne kruki
Pieśniom zagładę wieszczą.

Poezya chyli słabe skronie,
Choć blask ma w licu bladem:
Nie wypuszczają berła dłonie,
Z czoła nie spada dyadem.

Płaszcz ją z amjantu skrywa całą;
W ogniu kształtów nie zmieni;
Daremnie zechcą gryźć jej ciało
Głodne węże płomieni.

Duch jej uleci przez otchłanie
Do nieba, skąd jest rodem,
A boskie ciało pozostanie
Wiecznie pięknem i młodem.

★

Przyszłe istnienia, przyszłe wieki
Nie będą poetycznemi;
Rozsądek zimny a kaleki
Zapanuje na ziemi.

Człowiek wyłupi sobie oko,
Którem badał błękity,
Jak kret, zakopie się głęboko,
Skrzydlaczom odda szczyty.

Tych, co wiązali z niebem ziemię
Natchnień złotem ogniwem,
Sancho-Pansowe nazwie plemię
Przedpotopowem dziwem.

Jedni wyśmieją ich z oddali,
Drudzy nie dojrzą w tłumie,
Inni ich będą uwielbiali —
Ale nikt nie zrozumie.

★

Za każdą zorzą, co zagasła,
A blaski siała złote,
Mimo odmienne czasów hasła,
Uczuwa duch tęsknotę.

Po każdym dźwięku przytłumionym,
Co był komuś pociechą,
A mógł przynosić moc zemdlonym,
Smutne zostaje echo.

Może po wiekach odrętwienia,
Wśród nowych zgoła ludzi,
Za dobą pieśni i marzenia
Żałość nagła się zbudzi.

Jeśli Poezyą wówczas wstanie,
Będzie dawnej upiorem,
Blada — bo przeszła przez otchłanie,
Smutna — bo z sercem chorem...

Z GENEZY DUSZ.

Są jedne dusze, jak woda w strumieniu
Płytkie, że zaraz sięgniesz wzrokiem do dna;
Są inne, w grubym pogrążone cieniu,
Choć się niejedna z wierzchu zda pogodna;
Są takie, w których dwie, trzy barw się mieni;
Są ulepione z błota; są tkane z promieni.

Najprostsze to postacie dusz. Bez trudu
Czytać w nich można, jak w otwartej księdze;
Nie błyśnie żadna wielkiem światłem cudu,
Blade ich cnoty i powszednie nędze;
Doczesnem szczęściem każda jest szczęśliwa
I, choć skrzydlata, skrzydeł nie używa.

Ale są dusze jako światy całe,
Nakryte jasnem sklepieniem błękitów;
Wszystko w nich wielkie, mocne i wspaniałe:

Bezdeń przepaści, niebotyczność szczytów;
Niekiedy świetne jak ognia kolumny,
To znów ponure jako wnętrze trumny.

Na każdą z dusz tych składały się może
Drogą dziedziczeń całe pokolenia,
Rzucając w głąb jej, jako skarby w morze,
Swoje rozpacze i swoje marzenia,
Niebiański zachwyt, ziemski smutek głuchy
I zmysłowości szalone wybuchy.

Dla takiej duszy, co jak gryf ma skrzydła,
Jak lew pazury, jak orzeł grom w oku,
Niczem są losu zasadzki i sidła,
Strachy, w przesądów lęgnące się mroku,
Za nizka dla niej praw doczesnych władza,
Za ciasna ścieżka, po której tłum chadza...

PNIE I KORZENIE.

Wysmukła brzoza, sosna pogięta,
Dąb, z dumą patrzący na nie,
To panujące lasu książęta —
Krzewy zaś, to ich dworzanie.

Niebrak i służby szumnego koła,
A giermki, harfiarze, karły,
To mchy srebrzyste, kwiaty i zioła,
Co w barwny hufiec się zwarły.

Tych przepychowi, tamtych powadze
Olśnione dziwi się oko —
Lecz, kto dał wszystkim piękność i władzę,
Sam skrył się kędyś głęboko...

Olbrzymy lasu dumne swe szczyty
W powietrznym kąpią błękicie,
Lecz ich rodzicem nie są błękity,
Nie z nieba ich moc i życie...

Tutaj panowie jawią się oku
W błyszczących szatach i zbroi,
A tam pod ziemią, pełza wśród mroku
Czerń, która dla nich się znoi.

Tam wężowiskiem splątanych ssawek,
Niby ustami chciwemi,
Dla butnych dębów, dla strojnych trawek,
Korzenie żer ciągną z ziemi.

A gdy konary, kwiaty i liście
Słońce bogato pozłaca,
Ich życia udział jeden wieczyście:
Ciemność, samotność i praca.

Ale zbogaćcie każdy z tych splotów
Złotem słonecznych promieni,
A zaraz stanie do życia gotów
I liściem się rozzieleni...

O tu — w parowie — gdzie ziemi łono
Burza głęboko rozdarła,
Deszcz zmył korzeni sieć pokręconą,
Co się zdawała zamarła.

Pod pieszczotami światła i ciepła,
Pod świeżem powietrza tchnieniem,
Skra żywotności, co w nich zakrzepła,
Jasnym strzeliła płomieniem.

Dziś, suchy korzeń korą lśni świeżą,
Z listków godowe ma szaty,
Nowe wypustki na nim się jeżą,
Płonią się pączki i kwiaty...

Gdybyż to wszystko tak miłosiernie
Zielenią przystroić młodą!...
Gdyby tę całą obdarzyć czernię
Słońcem, powietrzem, swobodą!...

Gdyby!... lecz z wielkich drzew majestatem,
Co-by naówczas się stało?
Któżby las barwnym haftował kwiatem,
Piękności otaczał chwałą?

Gdzieżby podziały się te olbrzymy,
O które wichr się roztrąca?
Dokąd-by zbiegła przed chłostą zimy
Zwierząt gromada marznąca?

Skąd-by na pola w słonecznej spiece,
Padał cień chłodny i cichy?
Czyjej oddały-by się opiece
Modre sasanek kielichy?

Kto nad poety szumiał-by głową
Pieśni, głębokie jak morze?
Kędy-by kwitła nocą czerwcową
Paproć, co siły ma boże?

Gdzie, o zachodzie, ptaki i kwiaty
Szeptały-by swe pacierze?
Gdzie rudy niedźwiedź i żubr brodaty
Bezpieczne miały-by leże?...

Więc praw odwiecznych gwałcić nie trzeba,
Zgodność dzieł wielkich jest duszą —
Żeby pnie mogły piąć się do nieba,
Korzenie w ziemi tkwić muszą!

DZIWOŻONA.

Na sitowiu wiatr wygrywa
Słodką serenadę,
Czarną kitą chwieje iwa,
Błyszczą gwiazdy blade.

Czegoś pragnie, za czemś wzdycha
Dusza rozemdlona —
A wśród mroku tkliwie, zcicha,
Wabi dziwożona...

„Marne twe z myślami boje,
Marny byt bez celu...
Ja tęsknoty twe ukoję,
Smutny marzycielu.

Nie dosięgniesz gwiazd na niebie,
Tonących w obłoku,
Lecz są gwiazdy bliższe ciebie:
W ukochanej oku.

Całowanych ust wymowa,
Serc miłosne bicie —
W tem się klucz zagadki chowa,
Której imię: życie.

Próżno chcesz się stać aniołem,
Wyzuć z ziemskich znamion:
Brak ci gwiazdy ponad czołem
I skrzydeł u ramion.

Ziemia-siostra, ziemia-matka
Wzywa cię do siebie;
Droga uciech prosta, gładka...
Zapomnij o niebie.

Przez ust młodych wonne róże,
Przez oczu płomienie,
Rozkosz, w dziewic wabnych chórze,
Śle ci pozdrowienie.

Przestań patrzeć w gwiazd koronę,
Co kusi zdradziecko;
Mnie ukochaj, o szalone,
Nieposłuszne dziecko!

Pójdź, ach pójdź na moje łono!
Dam ci sen i ciszę,
I twą duszę roztęsknioną
Słodko ukołyszę"...

Coraz ciszej, coraz smętniej
Szumią iw korony;
Coraz głośniej i namiętniej
Brzmi śpiew dziwożony.

A on w mroku gęstniejącym,
Marząc, dalej kroczy —
I ku gwiazdom, ku milczącym,
Zwraca tęskne oczy...

NOCĄ, NA MORZU.

Blask księżycowy, jak srebrzysta wstęga,
Przez mrok rzucona i przez fal błękity,
Od stóp mych idąc, progu niebios sięga.

W świat, zmysłowemu wzrokowi zakryty,
Zda się prowadzić ta ognista ścieżka,
Pomiędzy senne, czarodziejskie byty.

O! któżby nierad dotknąć choćby brzeżka
U tej zasłony, co zakrywa tyle
I poza którą może bóstwo mieszka!...

Płoche najady, swawolnice wile,
Po drodze, lśniącej, jak pas brylantowy,
Niby wiosenne pląsają motyle;

A każda, ruchem nieumyślnym głowy,
Błyskiem ramienia, oczów skrą gorącą
Wabi za sobą na szlak księżycowy.

Wzrok mgła przesłania i myśli się mącą...
Takby się chciało rzucić szarą ziemię
I iść w tę topiel, tęczami grającą...

Takby się chciało myśl, co w prochu drzemie,
Ubrać w kolory, jak wazon etruski
I zdjąć z niej ciała niewygodne brzemię...

Ach! zawsze dla mnie ten wąż srebrnołuski
Miał wdzięk kuszący węża edeńskiego
I nimf mi głosem śpiewały fal pluski!

Pomnę, w dzieciństwie (czemuż dziś do niego
Dusza tak często biega w odwiedziny?)
Z drżeniem księżyca czekałem pełnego.

A gdy nurt rzeki, popielato-siny,
Płynnego srebra obielił się smugą,
Niknącą w mrokach nadbrzeżnej gęstwiny;

Kiedy tą szarfą, migotliwą, długą,
Oba się brzegi miłośnie związały,
I blask na rzece kładł się rzeką drugą,

W wodne się wówczas rzucając kryształy,
Pomiędzy perły, topazy, opale,
Płynąłem, w srebrze księżycowem cały...

Myśl mnie krzepiła, że dążąc wytrwale,
Nie dziś, to jutro zapłynę w kraj cudów,
Do jakiejś groty w dyamentowej skale,

Między rusałki albo wielkoludów,
Gdzie się, wśród uciech, dniami zdają wieki,
I gdzie zapłata wszystkich ziemskich trudów...

Lecz tego szlaku kres był niedaleki:
Na ciemnej boru łamał się on ścianie,
Na szańcu sosen z tamtej strony rzeki.

Dziś, kiedy morskie przemierzam otchłanie
Tęsknem spojrzeniem i teskniejszą duszą,
Znów mi dziecięce wraca pożądanie...

Lecz jeśli teraz szepty fal mnie skuszą
I księżyc okiem zaczaruje złotem,
Jeśli dziś ujdę przed życia katuszą —

O! nie czekajcie wy już mnie z powrotem!

Ach! nigdyż ziemia nie będzie syta
        Ciał martwych i martwych liści?...
Zawszeż grobami ma być okryta,
        Bez celu i bez korzyści?...

Z wiosną zadzwoni w świeżej gęstwinie
        Słowiczych piosenek echo —
Ale dla liścia, co dzisiaj ginie,
        Jestże to jaką pociechą?...

Pada i pada deszcz krwawo-złoty,
        Milionem kropel szeleszcze;
Liście strącone, liście-sieroty
        Sypią się jeszcze i jeszcze...

Z WIDZEŃ CMENTARNYCH.

Błądził wśród tłumu obojętny, cichy,
Nie chyląc głowy przed żadną mogiłą;
W twarzy miał znamię lodowatej pychy,
Martwym połyskiem oko mu się szkliło,
I na cmentarzu, co drżał jęków chórem,
Gdy stanął, zdał się nagrobnym marmurem.

Każdy ku niemu twarz zwracał zbolałą,
Jak ku niestrojnej w hymnie bólu nucie...
Więc zbadać chciałem: co mu tę moc dało,
Że umie w sercu tłumić wszelkie czucie,
I że przystępu nie ma już doń smutek?
On okiem błysnął i rzekł: — Jam podrzutek...

I odszedł. — Cmentarz od lampek był złoty;
Łzami mogilną obsiewano rolę;

Płakały matki, płakały sieroty...
A mnie myśl tknęła, że w nieszczęsnych kole
Tego los zepchnął na szczebel ostatni,
Kto nawet w grobie nie ma duszy bratniej...

W SZPONACH BURZY.

Ptaszynę małą wiatr uniósł na morze,
Głośne fal szumnych płaczem;
Do brzegu, biedna, dolecieć nie może
I spocząć nie ma na czem...

Drobne skrzydełko już drętwieć zaczyna,
Serce zamiera w łonie —
Jeśli w tej walce omdleje ptaszyna,
Czarna ją toń pochłonie...

Gdybyż choć piasku jałowego trochę,
Kędy kormoran siada;
Gdybyż choć skała, z którą fale płoche
Igrają, jak najada;

Gdybyż choć żagiel, co, jak motyl, błyska
W wodnych kryształów kole —
Nic — tylko górą żałobne chmurzyska,
I war kipiący w dole...

Może to ptaszę w dalekiej gdzieś stronie
Jest światłem w czyim domu...
Może śpiew jego, choć często w łzach tonie,
Pociechę niesie komu...

Może nad ciężką wątłych skrzydeł pracą
Żałośnie ktoś tam wzdycha...
Możeby jeszcze przydała się na co,
Ta istność smutna, cicha...

Niestety! siły tytanów potrzeba,
By w takiej walce nie paść!...
Skrzydełka zwisły, jęk wzleciał do nieba —
Ptaszyna spadła w przepaść...

Fala się zwarła, martwe ciało skrywa,
Toń huczy — wichry wtórzą...
Taki los ptasząt — taki często bywa
I dusz, miotanych burzą!

EIRONEIA.

Nie padł w strasznej z przeznaczeniem walce,
Krew zeń wszystka raną nie wyciekła;
Jeszcze deptać pragnąłby padalce,
Iść w zapasy z potęgami piekła...
Lecz choć chętnie dałby na ofiarę
Ciało myśli i krew swego serca,
Czyny jego jałowe i szare:
Chęć w nim każdą gasi duch-szyderca.

Kiedy zapał lica mu zrumieni,
Czuje w sobie świętą moc stwarzania;
Chciałby dźwignąć jakiś świat z promieni,
Kościół niby, skąd się Bóg wyłania.
Już nakreślił plan wielkiego dzieła,
Do gwiazd wzbija się natchnienia lotem...
Nagle niechęć siły mu odjęła:
Duch-szyderca zasyczał: „Co po tem!?"...

Ale pracy ideał go nęci —
Więc mrówkami zrobił myśli swoje
I wytęża ku jednemu chęci,
Obojętny na trudy i znoje,
Nim na szlaku martwą bryłą padnie,
Walkę podjął namiętną, zażartą...
Nagle ręce opuszcza bezwładnie:
Duch-szyderca zasyczał: „Czy warto?“

Jeszcze żywy; jeszcze krew w nim gore;
Miłość ludzi na nowo go wskrzesza;
Czyliż wolno serce pieścić chore,
Gdy dokoła smutnych cała rzesza?
Cudzą boleść niech wchłonie pierś pusta,
Trzeba cierpień i ofiar iść drogą...
Nagle gorycz wykrzywia mu usta:
Duch-szyderca zasyczał: „Dla kogo?“

BEZSILNOŚĆ.

Gdybym ja mógł przelać w słowa
Swe palące łzy,
Gdyby zdolną była mowa
Wcielić moje sny;
Gdyby z serca wprost do pieśni
Biegł uczucia prąd —
Może daliby rówieśni
Dobry o mnie sąd.

Lecz przez twarde ziemskie prawa
Pieśń przejść musi wprzód
I ognista uczuć lawa
Zastyga w niej w lód;
A co tam, w wybuchu wrzącym,
Huczało jak grom,
Tu podobne jest szemrzącym,
Cichym wiatru tchom...

Nigdy, nigdy nie wypowie
Blada mowa ta
Tego, co szaleje w głowie
I co w piersi łka;
Bezowocne długie boje,
Łańcuch ciężkich prób —
Myśli moje, czucia moje,
Pójdą ze mną w grób.

DUCH I FALA.

Gdy woda gładka, gładkie i odbicie,
Gdy duch pogodny, pogodne i życie.
Lecz niechaj falę zmąci tchnienie burzy,
Nawet wiosenne niebo w niej się schmurzy,
Niech myśli w sobie zmroczą się i zwichrzą,
Wszystko w nich postać przybierze najlichszą...

Dotąd twe słowa, o poeto stary,
W pamięci chowam jako dogmat wiary,
I wiem, że sądzić o obliczu życia
Nikt z wewnętrznego nie może odbicia.
Każdy ma w sobie świat oddzielny, własny,
Od barwy ducha raz ciemny, raz jasny.

Cóż mi stąd jednak, śpiewaku sędziwy,
Żeś mnie uważnym zrobił na te dziwy,
Skoro, odchodząc do grobowych ciemnic
Nie zostawiłeś klucza do tajemnic:
Na wieczną ciszę jak wygładzić wodę?
Czem zakląć ducha na wieczną pogodę?

STACZAĆ SIĘ W PRZEPAŚĆ...

Staczać się w przepaść; liczyć ślizkie stopnie
Od cichych smutków do wściekłej rozpaczy;
Wiedzieć, że nigdy nie będzie inaczej —
Ach, to okropnie!

Lecz, na dno samo runąwszy, jak kamień,
W głuchem zdrętwieniu rozprostować pięście;
Zgubić nadzieję, dojrzeć kres omamień,
To prawie szczęście...

NIE TRZEBA Z SERCA WYRYWAĆ BOLEŚCI...

Nie trzeba z serca wyrywać boleści,
Choćby najsrożej raniła,
Bo nikt nie zgadnie czy się w niej nie mieści
Wiążąca do życia siła.

Póki nóż w piersiach, trwa jeszcze otucha,
Śmierć skrada się zwolna, skrycie,
Lecz gdyś nóż wyrwał, krew falą wybucha
I falą wypływa życie...

RADA.

Cierpisz? przegrałeś na loteryi życia?
Ognik miłości zawiódł cię w bezdroże?
Straciłeś pieniądz? złudzenia? lub może
W drodze do sławy doznałeś rozbicia?
Skądkolwiek wyszło, że duch twój w żałobie,
Jeśliś spokoju żądny — skryj to w sobie.

I szczęścia swego nie obnoś wśród ludzi;
Jak drogi klejnot schowaj je głęboko,
Bo w jednym zawiść, w innym chciwość zbudzi —
A gdy je skala czyjeś brudne oko,
Gdy obcy rękę ściągnie doń bezwstydnie,
Albo je stracisz, albo ci obrzydnie.

WIDZĘ I SŁYSZĘ.

Ponieważ chodzę z oczyma
Na gwiazdy obróconemi,
Świat sądzi, że mi jest obcem
To, co się dzieje na ziemi;

Że mowę planet rozumiem,
Lecz w ziemskich sprawach się mylę;
Że ufam lisów czułości
I wierzę w łzy krokodyle;

Że mroki złudzeń kochając
Bardziej od prawdy poranka,
Lwa mogę dostrzegać w ośle
I wilka brać za baranka;

Że nie potrafię rozróżnić:
Co świegot a co muzyka,
I że dam zwieść się gilowi,
Kiedy udaje słowika;

Że obcy mi są plotkarze:
Szpak-papla, gaduła-szczygieł;
I nie znam jeża, co kłuje
Ostrzami krytycznych igieł;

Że nie rozumiem urągań
Dumnego z piór swoich pawia,
Co śmieje się z cudzych skrzydeł,
A własny ogon wysławia;

Że nie wiem, jak po kurnikach
Gęś o mnie gęga otyła:
„I cóż to za sztuka śpiewać?
Ja lepiejbym potrafiła!“

Że psów nie widzę gromady,
Co na mnie w zaułkach szczeka,
I że nie widzę chytrości
Gorszego od psów człowieka;

Że wierzę w szczerość uścisków
Judasza Iskaryjoty,
I nie wiem, ile są warte
Zimnej syreny pieszczoty,

Żem głuchy, gdy za mną szepce
Opryszków szajka ostrożna:
„On myśli tylko o gwiazdach...
Łatwo ograbić go można!"

Że idę senny i ślepy
Przez życia drożynę ciemną,
Nie widząc nawet przepaści,
Którą wróg kopie przede mną...

O! jak się łatwo świat plącze,
Gdy nitkę przywidzeń mota...
Nikt od poety świadomiej
Nie czuje nędzy żywota!

Serce napełnia mu ona
Nie zemstą, ani też złością —
Lecz żalem jedynie wielkim,
Wielką jedynie — litością...

I przeto sokoła myśli
Puszcza najdalej od ziemi;
I przeto chodzi z oczyma
Na gwiazdy obróconemi...

ŻÓŁW, MOTYL I ORZEŁ.

(BAJKA).

Co po lekkości! co po barwach tylu! —
Mówił żółw o motylu —
Ani to piękne, ani pożyteczne,
Ani konieczne.
Czyż to nie zbytek, czy nie głupota,
Wzbijać się w górę skrzydłami kruchemi?
Spokojna mądrość, hartowna cnota
W skorupie łażą po ziemi.
Każde szanowne stworzenie
W największej miewa cenie
Powagę;
A czyż poważna persona
Może, zadarłszy ogona,
Fikać,
Brykać
I zwracać na się gawiedzi uwagę?

Przeciwnie: im bardziej
Blaskiem pogardzi,
Im będzie cięższa, niemilsza, płaściejsza,
Pospoliciejsza
I niezgrabniejsza;
Im silniej senną ociężałość wołu
Z niedźwiedziem koszlastwem pospołu
I niezdarnością borsuka
Złączy w niej w jedno natura i sztuka;
Im w grubszych istot pomieści się rzędzie —
Tem czci godniejszą będzie.

Dowcip, wesołość, polotność, pustota,
Na zawsze mają zamknięte wrota
Przybytku, w którym szanowność gości;
Bo cóż jest znakiem mądrości,
Jeśli nie dzikość, niemrawość, mrukliwość
I opryskliwość?
Surowość
I jałowość?
Niedbałość
I osowiałość?

Uczony cadyk z Kocka
Stwierdza tę prawdę należycie...
Mędrzec ten milczał, nakształt sosnowego klocka,
Przez całe życie;
Nikt nie usłyszał odeń nigdy miłego wyrazu,
I nie uśmiechnął się on sam ni razu.

Albo skrzydła — jakiż to śmieszny wynalazek,
Z babskich bajd wzięty i skazek!
Co komu po tem!
Prawdziwa mądrość pogardza lotem
I głupią lataczów zgrają!
Dlaczegoż skrzydeł nie mają:
Słoń,
Koń,
Muł,
Wół,
Dzik,
Byk,
A nawet istoty lepsze:
Osły, barany i wieprze?

Niech więc nie bają bajecznie bajarze!
Bo nigdy przykładu nie było,
Ażeby skrzydła chodziły w parze
Ze wspaniałością i siłą,
Z powagą i rozumem...“

Wtem nad czerepem mówcy orzeł przebiegł z szumem.

Żółw umilknął zawstydzony —
Ale nie nawrócony.

VI

UMARŁYM I ŻYWYM

POMNIK MONIUSZKI.

Pieśń najpiękniejsza, jak sen się prześni,
Spłynie, jak fala;
Niechaj więc pamięć genialnych pieśni
Marmur utrwala.
Odłam kamienia, jak herold biały,
Potomnym wiekom obwieści,
Że i te czasy śpiewaka miały
Swych marzeń i swej boleści.

Pieśń Moniuszkowa, to dworzec stary
Naszego ducha;
Najpierw tam dzwonią z tokajem czary
I śmiech wybucha,
Potem grom bije, przeraża trwoga,
Rozpacz przychodzi po bitwie,
A chorał jęków płynie do Boga,
By się roztopić — w modlitwie.

Kamień ci dają w zamian za pieśni,
Słodki śpiewaku!
Lecz tyś już zajął swe miejsce wcześniej
Tam — na zodyaku...
Ze słońc legionu nic cię nie ruszy —
A hołdy brać będziesz wszędzie
Od każdej wzniosłej i czystej duszy —
Chyba, że dusz tych nie będzie...

Głaz w Panteonie piewcom umniejsza
Cierpień zawodu,
Lecz jest świątynia jeszcze piękniejsza:
Serce narodu.
Bronzów tam niema, niema wawrzynu,
Duszne kadzidło nie dymi...
O wielki mistrzu! o dobry synu!
Tyś i tam między pierwszymi!



PAMIĘCI J. I. KRASZEWSKIEGO.

PREZYDUJĄCY: Do jakiego należysz pan stronnictwa politycznego?
OSKARŻONY: Do »stronnictwa miłujących.«

Ten, co nas krzepił — sam upadł w niemocy,
Ten, co nas cieszył — łzą zapłakał krwawą,
Ten, co nam świecił — zniknął w mrokach nocy,
Ten, co nas karmił — stał się grobu strawą;
Gdy jego bolów przemierzamy stopnie,
Jakże nam ciężko! jakże nam okropnie!

To był nasz ojciec; i my dziś — sieroty...
On nas skrzydłami swojemi osłaniał,
Uczył wytrwania mężnego i cnoty,
Roje złych myśli od sennych odganiał;
Rozmnażał ducha, jako Chrystus chleby,
I wszystkie nasze nasycał potrzeby.

Umarł! — Płacz wielki niech dzwony kościołów
I polne dzwonki rozniosą po świecie —
Bo on świętością stał pośród aniołów,
I był tak prosty, jako polne kwiecie;
Serce na ziemi, skroń miał wśród błękitu:
Kraj był nim pełen od nizin do szczytu.

W stuleciu, które inne głosi hasła,
Któż odeń lepszym był Chrystusa synem?
Gwiazda w nim wiary nigdy nie przygasła,
Ziarna miłości siał słowem i czynem,
I choć zgnębiony przez los i cierpienie,
Nie wołał: „Zemsta!“ ale — „Przebaczenie!“...

Naród przywykły zwracać czujne oczy
Tam, gdzie świeciło słońce jego ducha —
Dzisiaj żałobą czarną się omroczy,
Widząc, że blask ów zdusiła noc głucha, —
I będzie smutny błąkał się w przestworzu,
Jak nawa, której sternik zginął w morzu.

Zginął — lecz pierwej skreślił drogowskazy.
Dziś, wzrok załogi łza pokrywa cieniem;
Jutro — przyszłości znęcą ją obrazy,
I plan sternika pochwyci ze drżeniem...
„Walczyć nam! — krzyknie — walczyć a nie ginąć!
Do wioseł! płyńmy, gdzie On kazał płynąć!“

A szlak na planie prostą linią bieży,
Mimo mielizny i mimo otchłanie;

Ani się na nim rafa ostra jeży,
Ani wir szumnej bryzgać każe pianie.
Ani straszydła w sercach budzą trwogę,
Ani syreny zastępują drogę...

Nieporuszona igiełka busoli
Wskazuje stale: miłość bezgraniczną,
Miłość wszystkiego, co cieszy i boli,
Miłość wszechziemską, miłość seraficzną.
Miłość, co krzepi, uzacnia, rozgrzesza,
Co cuda czyni i umarłe wskrzesza...

O genewskiego jeziora kryształy!
Ciemne wy dzisiaj dla oczu Polaka! —
Jednakże kiedyś będziecie błyszczały
Wśród narodowych pamiątek zodyaka;
Na was zatrzymał się smętny duch mistrza,
Zanim go fala schłonęła przeczystsza...

Gdy już miał skończyć długie z życiem boje,
Wasz szum w gasnące przekradł mu się ucho —
A on śnił wówczas: że to szemrzą zdroje,
Poleska puszcza szumi nad nim głucho,
Żurawie krzyczą, pęka młoda sosna,
I głos fujarek dzwoni: „Wiosna!... wiosna!“...

PAMIĘCI JANA MATEJKI.

Człowiek natchniony odszedł — może święty —
Bo moc wskrzeszania miał daną od Boga.
Przez ziemskie ciernie i ziemskie zamęty
Prosto w błękity biegła jego droga,
A zamiast ścierać skrzydeł pył tęczowy
W ciżbie — z grobami wolał wieść rozmowy.

Ziarno rodzajne, które z trumien wnętrza
Wydostał, kwiatem strzeliło i kłosem,
I dusza grobów, od dusz ziemskich świętsza,
Do tłumów żywym zagadała głosem.
Ludziom się zdało, że mówią anieli,
A błąd spostrzegłszy, „Cud! cud!“ wykrzyknęli.

Cudem był geniusz. Bóg go zawsze zsyła
Upokorzonej prawdzie na świadectwo,

A choć do ziemskich zjawisk go wliczyła
Niewiara, ludów najcięższe kalectwo,
Czujesz, stanąwszy w dzieł genialnych chórze,
Że, jak Eliasza, coś cię rwie ku górze...

Patrzysz na farbę i patrzysz na płótno,
Ale nie widzisz ni płótna, ni farby —
Myśl tylko wielka, czasem w szatę smutną
A czasem w dawne przystrojona skarby —
Myśl, którą widzisz duchem, nie oczyma —
W oczarowaniu serce twoje trzyma.

Bóg, za narzędzie łask swoich i cudu,
Z pośród dusz ziemskich wybiera najczystsze,
By jako słońca świeciły wśród ludu —
I niespodzianie wstaje mistrz nad mistrze,
Niby na puszczy egipskiej słup złoty:
Rafael, Dante, Mozart, Buonarotti...

Ten, co dziś od nas rozwiązany z ciała,
Do swej niebiańskiej powrócił ojczyzny,
Był z owych, których duch jak ogień pała,
A jest zarazem: podzielny i żyzny.
Świecił i karmił — i odzian w promienie
Oddał się sztuce na całopalenie...

Za to, że nosił anielskości znamię,
Że jego dzieła, to anielskie czyny,

Mogiłę świeżą, choć duchowi kłamie,
Przystrójmy, płacząc, w świerki i wawrzyny;
A nieśmiertelnym nim go głaz obwieści,
W sercach mu pomnik postawmy — boleści.

DO OJCÓW.

ADAMOWI PŁUGOWI.

Ojcowie nasi, z dworów i z pod strzechy!
Biegłoż wam życie tak gładko,
Że macie jeszcze na ustach uśmiechy,
Co są już dla nas zagadką?

Każdy z was młody, choć siwizną biały,
Do grobu kroczy pogodnie;
Nas już widziadła szczęścia odbieżały,
Dymią nam uciech pochodnie...

Wśród róż i wasza nie stała kołyska,
I wam też zmarszczki ból żłobi —
Skądże to światło, co w oczach połyska?
Skąd uśmiech, co twarze zdobi?

Myśmy prawd jednych słudzy i obrońce,
I jedno też mamy hasło;
Lecz w waszych duszach świeci jakieś słońce,
Które już dla nas zagasło...

Ojcowie nasi! Świat próżno się sili,
Przebić dziś smutków ciemnicę;
Odkryjcież wy mu, w ostatniej choć chwili,
Uśmiechów swych tajemnicę!

ARTYŚCIE.

P. SZYNDLEROWI.

...Przed zawieją życia
Dobrze się cichą zasłonić przystanią,
Kędy nie słychać gromów ziemskich bicia
I kędy Sztuka jedną tylko panią.

Niech sobie w dali huczy morze świata,
Niech w górę wybuch je rzuca namiętny —
Tu tylko w echu ta wrzawa dolata,
A na to echo tyś jest obojętny.

Źródło twych wzruszeń skądinąd wytryska:
Ciebie zachwyca gra świateł i cieni,
Badasz gdzie piękno ma swoje ogniska
I ducha grzejesz ciepłem ich promieni.

Wówczas dopiero, gdy się rzeczywistość
W blaskach i barwach cudownie przetworzy,
Tobie jest widną jej świętość i czystość,
Tobie jest widnym tkwiący w niej duch Boży.

Pomiędzy sobą a zewnętrznym światem
Szybę-ś z kryształu postawił tęczową;
Życie się przez nią staje fantazmatem
I bawi ciebie swą barwną osnową.

Gdy ci blask słońca wizyę miłą spłoszy,
Uczuwasz zawód, zniechęcasz się smutnie —
Lecz przyszła chwila nadziemskiej rozkoszy:
Otoś swą marę utrwalił na płótnie.

Jakaż powszednia, zmysłowa uciecha
Sprosta snom twoim, dorówna zachwytom?
Milczysz — lecz dusza w tobie się uśmiecha,
Rada stworzonym własną mocą bytom.

Ludziom prędkiego a głośnego czynu
Praca artysty jałową się zdawa;
Jej celem — mówią — tylko liść wawrzynu,
Rozkosz jednostki i jednostki sława...

Jednakże w tęczach, co z cichej pracowni
Na świat padają, jakże pięknie światu!
Jasność wystrzałów, blask pożarnych głowni
Czyż mu dodadzą tego majestatu?

Sny Rafaela, zaduma Tycyana
Zrodziły trwalsze i piękniejsze plony,
Niźli orężnych czynów krwawa piana,
Niźli Cezary i Napoleony.

O! mądrze czynisz, muz przeczystych bracie,
Od ścieków ziemskich trzymając się zdala —
Ni kropla błota nie bryzga z nich na cię,
Choć brudny bałwan tuż-tuż się przewala.

Jednak mi serce drży o szczęście twoje...
Niestety! nie dość zda się ono trwałem;
Grot losu kruszy i stalową zbroję,
A tyś się odział samym ideałem.

Dusza twa mieszka w ślicznej bańce z mydła,
Złotem i tęczą barwionej wymyślnie,
Lecz bańka cała, dopóki ma skrzydła,
Gdyby upadła — pryśnie!

VII

FRAGMENTY

PIERWSZA PIEŚŃ POEMATU.

Kto to, przy lampy płomieniu posępnym,
Wśród ksiąg i cyrklów czuwa późną nocą?...
Jest-że to Faust, chcący bojem wstępnym
Zdobyć niebiosa... z szatanów pomocą?
Jest-że to ducha szermierz niespokojny,
Co z własną myślą ciężkie toczy wojny?...

Nie! — Czas tytanów minął. Dziś granica
Nieba od ziemi strzeżona jest ściśle,
Żadna już wielka bytu tajemnica
Szpon nie zatapia sfinksowych w umyśle.
Człowiek, co nie mógł skrzydłami orlemi
Wzlecieć do nieba, kopie się dziś w ziemi.

Kretem być łatwiej, niźli ptaków królem;
Większy też spokój pozyskali ślepce,
Niźli widzący. Ci nie zadrżą bólem,
Poznając zaród śmierci już w kolebce;
Mądrość ich cała (na wyższą ich nie stać):
Kopać gdzie miękko; gdzie twardo — zaprzestać.

Więc pewnie kwitnie szczęście niezmącone
Wśród takich skromnych pracowników rzeszy?...
Pewnie... Lecz czemuż, w którą spojrzeć stronę,
Nigdzie człowieka, co się życiem cieszy,
Nigdzie szczerego śmiechu, ni wesela,
A młode skronie zgrzybiałość pobiela?

Owi roztropni, owi powściągliwi,
Co się umieli zewsząd opancerzyć;
Ci mędrce, których tak bardzo to dziwi,
Że i w drogowskaz inny można wierzyć,
A przecie dobić się bezpiecznie mety;
Ci z głazu... również kruszą się, niestety!

Więc jakże? Czyliż wyłupione oko
Od urągania przeznaczeń nie chroni?
Czy nie wystarcza wkopać się głęboko
W ziemię, by losów uniknąć pogoni?
Czy nie dość pełzać po mieliznach życia,
Żeby bezpiecznym już być od rozbicia?...

To może lepiej lotu się nie zrzekać,
Używać skrzydeł, gdzie skrzydeł potrzeba,

Przed zagadkami bytu nie uciekać,
Nie mrużyć oczów przed jasnością nieba,
I póki pieśni mogiła nie zgłuszy,
Grać ją na wszystkich dźwięcznych strunach duszy...

. . . .



WCZESNA WIOSNA.

O wczesną wiosnę i u nas nietrudno:
Często już marzec sypie złoto z nieba
Przedziurawiwszy chmur powłokę brudną,
Lecz mroźnym majem płacić zawsze trzeba
Za taką wiosnę przelotną, ułudną...

Ogrodnik, słońca kaprysów świadomy,
Radby przedłużyć sen kwiatów i drzewek;
Nie rozpowija szczepów swych ze słomy,
Drży nawet o los młodziutkich rzodkiewek,
Choć dla nich szklane pobudował domy.

Lecz zmartwychwstania pośpiech któż powstrzyma?
Ledwie przygrzało słońce, już łąk zieleń
Złotemi jaskrów śmieje się oczyma,
Bociany lecą, mknie do zdroju jeleń —
Wtem strach na wszystkich padł... Wróciła zima!

Wróciła z kota drapieżną uciechą,
Co już ma dosyć z ofiarą igraszek —
I wraz wesołych pieśni milknie echo,
W śnieżycy ginie i kwiatek i ptaszek;
Bociana musi karmić chłop pod strzechą.

Taka świeciła wiosna w roku — który
Pamięć nas wszystkich zachowa na zawsze.
Rok ten był kocim umizgiem natury;
Strojąc po wierzchu miny najłaskawsze,
Niósł ciężkie gradem i burzami chmury.

Mówiono, że się nigdzie śnieg nie bieli,
Że w lasach ziemia pod mchem prawie ciepła,
Że się śpi na niej, jakby na pościeli,
I że lodowa skorupa odkrzepła,
Bo żarem serc swych ludzie ją rozgrzeli.

Niewczesna wiosna! niewczesną nadzieją
Trwałe lat długich niwecząca prace!
Dotąd się po niej łzy gorące leją.
Pochylmy głowy — *requiescat in pace* —
Już uniesiona historyi zawieją.

. . . .

GROBY.

...W tej chwili księżyc, jak lustro spotniałe,
Zmętniał i płatki jęły lecieć białe,
Podobne pierzom łabędzia lub mewy.
Śnieg zaczął srebrnym nakrywać obłokiem
Groby i smętną na grobach... królowę.
Rzekłbyś, że z białych posągów natłokiem
I ze śnieżnemi chce ją zrównać drzewy,
Na wszystkiem kładąc barwy jednakowe.

Ona, pod chłodem tej śmiertelnej szaty,
Ucichła nagle, jakby pocieszona,
I ból, co dotąd szalał wśród jej łona,
Jak zwierz, schowany za żelazne kraty,
Teraz się we łzy roztopił i skruchę,
Źródłami czyniąc oczy dotąd suche.

Tak burza, kiedy zrzuciwszy na ziemię
Wichrów, błyskawic i piorunów brzemię,
Gniewnego szału i wściekłości syta,
Dość się napieni, nasroży, nazgrzyta —
W perłowe potem roztopiona deszcze,
Po drzew gałęziach spokojnie szeleszcze.

A cmentarz leżał pod śniegu obrusem
Biały i cichy, jak stół wigiliowy...
Furty pilnował stary krzyż z Chrystusem
I z łacińskiemi na ramionach słowy;
Drzewa sterczały nagie i bez ruchu,
Jakby je przestrach trzymał na uwięzi —
Wiatr z nich srebrnego nie otrząsał puchu,
Nie budził kruków, śpiących na gałęzi.
Znać było dziwne życia zatrzymanie
Nawet w chmur stadach, co w błękicie spały,
Nawet w księżycu, co na niebios ścianie
Tkwił nieruchomo, jakby skamieniały...

O święta ciszo pielgrzymiej gospody,
Kędy podróżni stają dla ochłody
Po dniu upalnym, po życiowej spiece!
Ty, która topisz w niepamięci rzece
Najsroższych cierpień i smutków brzemiona,
Ciszo cmentarza, bądź błogosławiona!

Matka tak dziecka swego nie utuli,
Jak ty utulasz zmęczonych żywotem;

Pod twemi skrzydły, jako pod namiotem,
Sen ich kamienny ogarnia najczulej;
Zgrzytają zębem dopóki nie zasną —
A potem leżą z twarzą cichą, jasną...

Tutaj się ludzkie namiętności korzą,
Złość łagodnieje, uniża się pycha;
I zgiełk powszednich rozterek ucicha;
Tu myśli mędrców, do buntu tak skore,
Niepokonaną znajdują zaporę;
Tu z ziemskiej gliny i ziemskiego błota
Rychło opada fałszywa pozłota;
Tu się smutnego rozpogadza lice,
Śmieszek nieznaną uczuwa tęsknicę,
A człowiek-zwierzę, co starł ducha piętno,
Staje się prochem lub zgnilizną wstrętną;
Tu mają ujście fale życia śmiałe,
O grób się łamiąc, jak morze o skałę —
I tylko jedna Miłości potęga,
Z Boga się rodząc, po za trumnę sięga!

RÓZIA.

W starych koronkach ładnie młodej twarzy,
W starym wazonie kwiat błyszczy najświetniej,
Bóg najwspanialszy wśród starych ołtarzy,
Najtrwalsza księga w oprawie stuletniej,
I zawsze formy przeżyte młodnieją
W parze z młodzieńczą wiarą i nadzieją.

Rózio! różyczko staromiejskich ciemnic
I tyś z ram starych wyjętym obrazkiem!
Młodość cię słodkich uczyła tajemnic,
Pojąc słonecznym i anielskim blaskiem,
A cichą głębię myśli i spojrzenia
Jasna twa postać wzięła z otoczenia.

Dla niejednego dziwem to bywało,
Skąd się w dzieweczce solenność ta bierze?

A ona sercem i istnością całą
Chłonęła w siebie przeszłości pacierze,
Modlitwy, które głaz szepce i cegła,
Gdy na nich świętość zgasłych wieków legła.

W prastarej izbie stała jej kołyska,
Gdzie w ostre łuki sklepienie się łamie;
Promień słoneczny jaskrawo tam błyska
Przez drobne szybki w ołowianej ramie;
Po murach widać wnęki jak ołtarze
A nocą duchy odprawiają straże.

Białe posągi u świętego Jana,
Madonna z gwiazdą przed Paulinami,
„Pasya“ u Fary z hebanu rzezana
W ciemnej kaplicy błyszczącej wotami,
Świętych postacie najsłodsze, najczystsze —
To były dziecka piastuny — i mistrze.

Dziewczynka pierwsze poznawała głoski
(W dzieciństwie uczyć jej nie było komu)
Z płyt, których marmur chęciński lub włoski
Głosi metrykę sędziwego domu,
Albo z nagrobków na ścianach świątyni,
Gdzie śpią *consules* i *archiscabini.*

Głowa murzyńska wychylona z góry
Pierwszego dziecku napędziła strachu;
Pierwszy w niej podziw zbudziły figury

Pod obłokami stojące na dachu,
A twarz Chrystusa, promienna świętością,
Była jej pierwszą, przeczystą miłością.

Ojciec jej prawie nie opuszczał domu.
Stary, o szczudle, książki tylko czyta
I, choć nie zdradza swych myśli nikomu,
Znać, że w nim dusza ziemskich wrażeń syta,
Że go obecność nic już nie obchodzi
I tylko czeka Charonowej łodzi...

Córka mu wszystkiem. W ciche, letnie zmroki
I w cichsze jeszcze wieczory zimowe,
Odkrywa przed nią swój smutek głęboki
I łzie pozwala spływać na jej głowę;
A łzy obojga często razem płyną,
Kiedy o matce wspomni przed dziewczyną.

To znowu, nakształt różnobarwnej wstęgi,
Rozsnuwa murów kronikę i ludzi,
Wszystko, co stare zwierzyły mu księgi
I młoda pamięć w sennych myślach budzi;
Ona z uwagą słucha wytężoną,
A w oczach iskry zapału jej płoną.

. . . .

OPOWIADANIE.

(Z „Obrazków hiszpańskich").

. . . .
A więc, jak rzekłem (kapciuch podaj, Helu,
I świeżą fajkę nałóż mi *sułtanem)*
A więc, jak rzekłem, bez zachodów wielu
Ów dom mulnika z poszyciem słomianem,
Gdzieśmy się wszyscy zeszli do apelu,

Pomimo naszych jęków i złorzeczeń,
Kazano z rogów podpalić jak świecę.
No, i skwarzymy się wszyscy na pieczeń,
A tamci mają doskonałą hecę
Patrząc na nową tę metodę leczeń,

Co, jak Hanneman, ogień ogniem gasi.
Ładne tam było piekło, ani słowa!

Jak czerw na szpilce, tak wili się nasi;
Od dymu zaraz zginęła połowa"...
„A pan?" — „Zapytaj Heli, co się łasi

Ojcu, a wielbi w pacierzach swych Boga
Za cud, co życie mu wówczas ocalił"...
Tu fajkę ścisnął niby szyję wroga
I szybko, w głuchem milczeniu ją palił,
A twarz z łagodnej stała mu się sroga...

I rzekł: — „Piętnastu było — setne chłopy —
A z życiem uszedł jeden tylko człowiek
I pies... Gorzeli jak wyschnięte snopy!
Będę pamiętał do zamknięcia powiek
Ten dzień!... Mam dotąd poranione stopy

I od spalenizn wielkie szwy i ślady".
„A ów pies?" — „Psem go nazywam, lecz szkoda
Psiego imienia dla takiej szkarady...
Frant to był, Judasz, przyuczony z młoda
Do faryzejstwa, podłości i zdrady.

Ledwie się ujrzał w ogniu i obławie
Jął krzyczeć: „*Pardon!* Ja wasz brat, wasz sługa!
Wypuśćcie! *Pardon!* Wszystko wam wyjawię!"
A choć od naszych kula jedna, druga,
Poszła go zaraz szukać w gęstej trawie,

Wśród której pełznął do wrogów jak żmija,
Uciekł — Hiszpanie go wzięli do siebie...

I patrz, że piorun takich nie zabija!
Mówią, że w Burgos żyje dziś jak w niebie
I z śmiechem czarę swej hańby dopija...

A wiem ja o nim rzeczy gorsze jeszcze,
Na które dusza się w człowieku wzdryga...
I patrz, siarczyste nie spadną nań deszcze!
Gdzieś, jak przyrosła do skały ostryga,
Drzemie, spokojny, że go zemsty kleszcze

Od granitowej nie oderwią ściany...
Ale przez Boga! musi być tam, w górze,
Sąd wyższy, gromem na chmurach pisany,
A w Baltazara pałacach na murze,
Sąd, który strąca zuchwałe szatany

I który tego padalca dosięże"...

. . . .

Gdy Skalski przedmiot ten przykry poruszy,
W drażliwość wielką i w gorączkę wpada.
Martwi to Helę, która z całej duszy
Spokojność ojcu zapewnić-by rada,
Broniąc to serce od nowych katuszy.

. . . .

TREŚĆ.

III. Obrazy i zarysy.

W kamienicy pod okrętem.

Z pieśni weneckich.

Miasteczko.

IV. Pod ciosem.

Str.

V. Z rozmyślań.

VI. Umarłym i żywym.

VII. Fragmenty.